EPOKA

ROK VI. Warszawa, 25 marca 1939 r. ROK VI. Nr 9 (148)

Cała Polska — stronnictwem oporu!

Czecho-Słowacja przestała istnieć. Brunatna plama na mapie Europy powiększyła się o dwa kraje, które jeszcze wczoraj były, przynajmniej formalnie, samoistnymi jednostkami państwowymi. Nie wiemy czy w chwili, gdy te słowa dojdą do czytelnika, plama ta nie powiększy się jeszcze, czy jeszcze jeden lub drugi z dotychczasowych sąsiadów Niemiec nie poprosi — oczywiście z własnej woli, bez jakiegokolwiek nacisku z zewnątrz! — o „opiekę" Wielkiej Rzeszy, nie odda się pod protektorat des heiligen Reiches deutscher Nation, jak to czytaliśmy w dniach ostatnich w prasie niemieckiej.

Na innym miejscu rozpatrujemy, przynajmniej w głównych zarysach, przebieg tragedii czeskiej. Nie chcemy się wdawać raz jeszcze w te szczegóły tutaj. Tutaj, w artykule wstępnym chcemy sprecyzować jedynie te zasadnicze wnioski, jakie dla polityki całej Europy, dla polityki polskiej niemniej niż dla polityki Zachodu, wynikają z przebiegu ostatnich kilkunastu dni.

Zbankrutowały przede wszystkim, bez reszty i jaknajgruntowniej, wszystkie nadzieje i złudzenia, że z Trzecią Rzeszą można się „dogadać", że można ją okiełznać, zahamować jej ekspansję. Któż może uspokoić boa constrictor? — to pytanie konserwatywnego londyńskiego „Daily Telegraph" najlepiej oddaje rzeczywistą wartość chamberlainowskiego „uspokojenia", wszelkich porozumień, wszelkich wzajemnych deklaracji i oświadczeń. Trzecia Rzesza zawsze znajdzie powody do ich anulowania: jeśli nie będzie to prawo samostanowienia to będzie to konieczność samoobrony, jeśli nie ludność niemiecka, to tradycje dawnych germańskich podbojów. W szczególności całą Europę na wschód od Renu, na północ od Alp, Trzecia Rzesza traktuje jako swój teren imperialny, teren, na którym suwerenność jej jest równie nieograniczona, jak suwerenność Anglii w Rodezji, czy Francji na Madagaskarze. Trzeba dobrze zapamiętać i wyciągnąć wszelkie konsekwencje z takiego chociażby oświadczenia „Frankfurter Zeitung": „w Europie Środkowej Rzesza realizację prawa samostanowienia narodów wzięła w swoje ręce". Czy można dobitniej, zresztą, wykazać całą bezcelowość jakichkolwiek porozumień z Trzecią Rzeszą, aniżeli to uczynił w swej słynnej już mowie w Birmingham, p. Neville Chamberlain, wyliczając wszystkie, poufne i publiczne, przyrzeczenia kanclerza Hitlera, podeptane tak po drodze przez tanki niemieckie, toczące się po brukach Pragi? Stwierdźmy, następnie, że los Czechów świadczy najlepiej, żywym przykładem, iż w pasie, objętym ekspansją Berlina kapitulacja nie popłaca, ustępstwa są tylko zachętą dla dalszych żądań i zaborów. Na jakież to ustępstwa nie szła beranowska Czechosłowacja: od dobrowolnego oddania odebranych jej w Monachium terytoriów poprzez autostradę berneńską, poprzez likwidację demokracji w Czechach, poprzez tolerowanie wyczynów pp. Wołoszyna i Rewaja ciągnął się jeden szlak upokorzeń i kapitulacji, z których każda była gorsza niż poprzednia i z których żadna nie oszczędziła następnej. U kresu stanęła okupacja Pragi, haniebny „protektorat", zawieszenie sztandaru ze swastyką na zamku hradczyńskim. Biada zwyciężonym! Biada nie tylko zwyciężonym, ale i kapitulującym bez bitwy. Biada

również i tym, którzy dobrowolnie poddadzą się wpływom niemieckiej potęgi. Ks. Tiso akurat dwie doby był premierem „niezależnej Słowacji". Zaraz po tym musiał się również oddać w „opiekę" Berlina. Trzynaście punktów statutu czeskiego, odpowiadających mniej więcej stanowi prawnemu, o jakiego zniesienie walczy dziś — słusznie! — ludność Trawankoru czy innego Radżkotu, oto przyszłość dobrowolnych i niedobrowolnych wasalów brunatnego Imperium.

Po trzecie okazało się raz jeszcze, dowodnie i dobitnie, że „rodzimy" ruch faszystowski w krajach sąsiadujących z Rzeszą niema nic wspólnego z jakimkolwiek, choćby reakcyjnym, choćby faszystowskim patriotyzmem, z jakimkolwiek dążeniem do wolności i wielkości własnego ojczystego kraju. To tylko narzędzie berlińskiej ekspansji.

Rok niespełna temu, jeden z inteligentniejszych publicystów naszego O.N.R-u, p. W. Wasiutyński, człowiek zdający sobie sprawę z niebezpieczeństwa berlińskiej ekspansji, objechał ówczesną Czechosłowację. Szukał tam patriotów, szukał „nacjonalistów". Nie znaleźli łaski w jego oczach socjaliści i agrariusze czescy, katolicy Msgr. Szramka i ludowcy słowaccy Hodży. Wszystko to było „żydomasoństwo" albo zgoła komuno-marksizm. Widział tylko dwie siły narodowe Czechosłowacji: młodych faszystów czeskich z grupy „Vlajki" i młodych hlinkowców z grupy Sidora i Durczańskiego. Dziś znikło „żydomasoństwo" i „marksizm" z ulic miast czeskich i słowackich. Przechadzają się po nich triumfalnie faszyści Gajdy i gwardziści hlinkowscy Sidora. Ale za to — na zamku w Hradczynie rozpiera się obcy najeźdzca a doliną Wagu toczą się germańskie tanki. Poszli do obozów koncentracyjnych, socjalista Bechyne, legionista Sychrawa, beneszowiec Hajek, marksista Nejedly. Poszli socjaldemokraci i katolicy, beneszowcy i agrariusze, komuniści i narodowi demokraci Kramarza. Tylko Gajda, wódz „ruchu narodowego czeskiego" wita wyciągniętą po hitlerowsku prawicą niemieckie oddziały. Tylko Beran, z prawicy agrariuszy, życzy kanclerzowi Hitlerowi przyjemnego pobytu w mieście, które było, jeszcze dwa dni temu, stolicą własnego państwa. Tylko ludzie z grupy „Vlajki" „młodzi arystokraci czescy", o których z taką sympatią mówi p. Wasiutyński, książęta Thun-Hohenstein i Lobkowitz („vom deutschen Blut" obydwaj!) zasiadają w bajracie okupanckiej władzy! Czy fakt ten nic nie mówi panu Wasiutyńskiemu, czy nie zastanawia go dziwna zgoła okoliczność, że wszyscy jego przyjaciele znaleźli się na służbie najeźdzcy a ci, których on potępiał, poszli do kazamat, jako wrogowie najazdu? Czy nie wzdryga się on na widok losu, jaki własnej ojczyźnie zgotowali jego przyjaciele z „Hlinkowej Gardy"?

Wracajmy jednak do Polski. Ocena naszej sytuacji została uproszczona przez fakt, że zgodna tu jest cała już niezależna opinia polska. „Dokonało się, z polskiego punktu widzenia, wyraźne przesunięcie na gorsze" — stwierdzają zgodnie, tymi samymi niemal słowami, konserwatywny „Czas" i demokratyczny „Dziennik Ludowy". Zgodne są w zasadniczej ocenie organy P.P.S. i Stronnictwa Narodowego, ludowców i O.N.R-u. Znajdują się wprawdzie jeszcze błazny i wesołki, usiłujące zamazać rzeczywistość wyolbrzymianiem „sukcesów", których wartość, mocno zresztą w ogóle wątpliwa, nie wyrównuje nawet dziesiątej części realnych minusów. Ale społeczeństwo patrzy prawdzie w oczy. Ta prawda jest jasna. Granica niemiecka sięga dziś, na południowym naszym odcinku przynajmniej do Sianek.

Sytuacja jest trudna. Ale postawa społeczeństwa jest zwarta i jednolita. Chodziliśmy, przez tych kilka dni, po ulicach miasta. Słuchaliśmy głosów ludzkich w tramwajach. Staliśmy na Nowym Świecie przed księgarnią, w której oknie wisiała nowa mapa Rzeszy, z zakreślonymi ołówkiem obszarami „protektoratu". Wszędzie, od Woli po Krakowskie Przedmieście brzmiała jedna nuta zasadnicza: opór. Wieści z prowincji, ze wsi, z okręgów przemysłowych potwierdzają to zdanie: opór. Nie ma w szerokich kołach społeczeństwa różnicy zdań w tej sprawie. Polska, Polska Grunwaldu i powstań, nigdy nie skapituluje jak Czechy, nigdy nie odda się dobrowolnie w niczyją „opiekę", jak Słowacja. *Cała Polska stoi w obozie stronnictwa oporu.*

Te uczucia ogółu zgodne są nie tylko z nakazem honoru. Rzeczywistość otaczająca nas pozwala na przypuszczenie, że kraj jest w pełni zdolny do oporu. Nie należy wyolbrzymiać siły brunatnego nacisku. Polska może nie tylko walczyć, nie tylko bronić się, ale i obronić, ale i odeprzeć atak przeciwnika. Armia polska stoi na wysokim poziomie. Zaatakowana, będzie ona miała za sobą stoprocentowe poparcie trzydziestu pięciu milionów obywateli. Nasze możliwości materialne wystarczą na zaopatrzenie frontu, zwłaszcza jeśli nasza dyplomacja zapewni nam pomoc w materiale wojennym z zagranicy. Trzeba tylko jednego: trzeba, aby ta wola oporu, ta nienawiść do

---

Prasa brukowa, żerująca na plotce i sensacji, jest rozsadnikiem demoralizacji społecznej.,

Prasa brukowa, rozparta nad ściekiem ulicznym, gra na najniższych instynktach i namiętnościach ludzkich,

Prasa brukowa, obsługująca motłoch psychiczny gardzi światłem rozumu, miłością prawdy i myślą krytyczną, a jako płachta, rozciągnięta dziś nad całym krajem i wypełniona po brzegi nędzną lub fałszywą treścią, przesłania i zaciemnia rzeczywistość.

Prasa brukowa nie jest więc dźwignią duchowej i umysłowej kultury narodu, lecz jego zakałą i kulą u nogi

---

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

wszelkiego cofania się przed wrogiem, jaka w ostatnich dniach wybuchła tak nagłym, tak gorącym płomieniem, przyjęła formę stałego pogotowia, została ujęta w twarde ramy organizacyjne.

Mówiąc o tym, oczywiście, nie myślimy bynajmniej ram monopartyjnych. Dziś bardziej niż kiedykolwiek byłyby szkodliwe, wręcz zbrodnicze eksperymenty „totalniackie", błąkające się tu i ówdzie po głowach niektorych działaczy O.N.R-u, czy też ich nieco starszych wiekiem przyjaciół politycznych. Byłoby to rozbijanie społeczeństwa, osłabianie Polski w obliczu zewnętrznego niebezpieczeństwa. Byłaby to robota Gajdów i Sidorów. Nie przeciw wielkim ruchom masowym ale z nimi i opierając się na nich trzeba zmobilizować cały naród, złączyć go, złączyć trzydzieści pięć milionów obywateli Polski w jedno wielkie stronnictwo oporu. Jasno i wyraźnie postawiły w ostatnich swych uchwałach sprawę zarówno Stronnictwo Ludowe, jak i Polska Partia Socjalistyczna: aby Polska mogła sprostać zadaniom, jakie lada dzień mogą przed nami stanąć, trzeba wyjść poza ramy systemu, trzeba przywrócić głos masom ludowym, trzeba dopuścić rzeczywistych, nie fikcyjnych przedstawicieli tych mas do odpowiedzialności za państwo, trzeba dokonać rzeczywistej demokratyzacji kraju. Wymieniając przede wszystkim, jako ośrodki ogólno-narodowego, ogólno-państwowego stronnictwa oporu dwa wielkie masowe ruchy demokratyczne, ruch ludowy i ruch socjalistyczny, nie chcemy bynajmniej wykluczać od współpracy w obronie tych, co znajdują się poza tymi ruchami, nawet w szeregach ich przeciwników. Trzeba i ich włączyć w szeregi stronnictwa oporu. Nie wolno od nich żądać jakichś ideowych kapitulacji, jeśli sami, własną myślą nie doszli jeszcze do konieczności rewizji swych poglądów. Można i trzeba żądać od nich jednego: by nie hamowali dzieła obrony, by nie probowali nikomu narzucać swych własnych kryteriów.

Zdajemy sobie sprawę, że tu właśnie tzw. „czynniki nieodpowiedzialne" zaczną wykorzystywać stworzone przez nasz nacjonalizm podłoże. Czyż to nie w Poznaniu, w zagrożonym, eksponowanym Poznaniu młódź „narodowa" obrzucała błotem młodzież robotniczą, defilującą ze swymi sztandarami, z czerwonymi sztandarami Waryńskiego i Okrzei w rocznicę Niepodległości? Czyż to nie ostatnio właśnie w chwili gdy szturmowcy hitlerowscy uderzali na studentów polskich w Gdańsku, inni, polscy hitlerowcy napadali z pałkami w dłoni na studentów polskich, wiernych swym chłopskim przekonaniom, we Lwowie? Dlatego, uważamy za niezbędne objęcie szeregami polskiego stronnictwa oporu tych elementów „narodowych", w których mimo rozpaczliwej dezorientacji politycznej istnieje poczucie polskiego interesu narodowego.

Nie wiemy, ile czasu pozostało nam do dokonania tych prac, niezbędnych dla osiągnięcia prawdziwego zjednoczenia narodowego i prawdziwego zjednoczenia państwowego. Wiemy, że prace te muszą być wykonane i to wykonane szybko. Tego żąda interes Polski, interes Niepodległości i Wolności Polski, interes Wolności Ludu Polskiego w Wolnej Ojczyźnie.

ROMAN LANG

Dekada polityczna

„Napastnik stoi obnażony..."

Tymi słowami angielskiego ministra można bodaj najlepiej scharakteryzować sytuację obecną. Tak jest, napastnik stoi obnażony. Przyznają to nawet ci, którzy dotąd starali się troskliwie owijać jego czyny w miękką bawełnę swych gładkich „uspokojeniowych" frazesów. Dzisiaj Europa — cała Europa! — wie już, kto jest napastnikiem i wie jakie są jego metody.

Ale na tej wiedzy, niestety na razie też wszystko się kończy. Ci sami, którzy długi czas głosili „uspokojenie" osi wojennej, co praktykowali karmienie lwów ludzkim mięsem, obecnie jeszcze ciążą nad polityką swych krajów, starają się przynajmniej storpedować wszelkie energiczniejsze, rzeczywiście mogące zadać cios napastniczej trójce, zarządzenia. Nadchodzi w całej Europie godzina stronnictwa oporu — pisaliśmy pod pierwszym wrażeniem aneksji Pragi. Tak jest — godzina ta nadchodzi, ale tylko wtedy będzie można mówić o zwycięstwie tego stronnictwa, o definitywnym porzuceniu monachijskich manowców, kiedy znikną z kierownictwa polityki Zachodu przedstawiciele i twórcy Monachium, kiedy dojdą tam do głosu nowi ludzie, mogący — jak Duff Cooper — chodzić po świecie z podniesioną głową.

Praga wzięta zdradą.

W Czechosłowacji powtórzyła się historia Targowicy: ci co szli na służbę postronnej potencji, co dla utrzymania się wobec nienawiści własnego ludu nie wahali się odwoływać do protekcji mocniejszych od nich reakcji — musieli, krok za krokiem, likwidować niepodległość własnego kraju, aż wreszcie osiągnęli kres wędrówki: koniec własnego państwa. Nie ma dość ostrych słów, by napiętnować haniebną zdradę czeskiego kierownictwa państwowego, panów Hachów i Beranów, Chvalkovskich i Syrowych, którzy sami poprosili najezdnika, by raczył podbić ich ojczyznę.

Ale potępienie to powinno obrócić się jedynie przeciw kierownictwu państwowemu Czechosłowacji, nie przeciw narodowi czeskiemu i słowackiemu. Naród czeski nie wiedział, że go Hacha zaprzedaje. Ludność Pragi poszła wieczorem do łóżka, nie spodziewając się niczego, by zbudzić się rano pod skrzydłami niemieckich eskadr samolotowych, kiedy było już zapóźno na opór. Mimo to opór był: bronili się z bronią w ręku robotnicy Morawskiej Ostrawy, żołnierze w powiecie frydeckim. Uratowali oni honor narodu, potwierdzili raz jeszcze, że w chwilach groźnych właśnie lud a nie baronowie węglowi,

cukrowi, czy włókienniczy stanowią jądro oporu. Wiadomości w prasie zagranicznej, ustne relacje naocznych świadków również zadają kłam szerzonej przez berlinternowców ze zrozumiałych przyczyn legendzie o „zgodzie“ narodu czeskiego na niemiecką okupację. Mówią te relacje o Pradze, mieście oszalałym z rozpaczy, o stutysięcznym tłumie na Placu Św. Wacława, witającym jakimś obłędnym, beznadziejnym, wielogodzinnym krzykiem bólu wkraczające niemieckie oddziały. Mówią o procesji tłumów przed grobem Nieznanego Żołnierza, o tysiącach karteczek „Nie zapominamy!“, sypanych na grób Masaryka. Nie, Hacha i spółka to nie naród czeski. Gdyby naród czeski zgadzał się z najazdem, gdyby kapitulował przed nim duchowo — pocóż w takim razie byłaby potrzebna ta orgia aresztowań, jaka zwaliła się na wszystkie kierunki polityczne Czechosłowacji? Cóż znaczy w takim razie tych dziesięć tysięcy ludzi, w samej tylko Pradze rzuconych do obozów koncentracyjnych najezdników?

Prezydent Benesz tworzy na emigracji, w Stanach Zjednoczonych nowy Rząd Narodowy, rząd walki o niepodległość Ojczyzny. Prezydent Benesz również popełniał niejeden błąd: przypomnijmy fałszywą politykę mniejszościową w okresie przed Hitlerem, przypomnijmy kapitulację z rozkazu „grubej czwórki“ monachijskiej. Ale kto z Polaków, z tych, co pamiętają, że i my miewaliśmy kiedyś na emigracji swoje rządy in partibus infidelium, może nie życzyć powodzenia przedsięwziętemu przez Benesza dziełu?

Losy Słowacji.

Jeśli kapitulanci prascy mogą powiedzieć przynajmniej, że kapitulowali tylko z przymusu, jeśli — z wyjątkiem garstki najwyraźniejszych berlinternowców z „Vlajki“ i grupy Gajdy — mogą oni przynajmniej powiedzieć, że podpisali tylko to co zrobił ktoś inny, to bratysławscy Targowiczanie nawet tego o sobie powiedzieć nie mogą. Panowie Durczańscy i spółka dobrowolnie, byle utrzymać się przy posadach i władzy, wezwali do kraju wroga zewnętrznego. Nie wstydzili się nazwać tego jeszcze... „niepodległością“!

Statut słowacki jest dotąd nieogłoszony. Na razie puszczono ze strony słowackiej „balon próbny“, przewidujący dla Słowacji „własne“ wojsko, policję i aparat dyplomatyczny (o polityce zagranicznej mowy nie ma...), zato łączący ją z Rzeszą unią celną. Nawet gdyby ten projekt został urzeczywistniony, byłby on faktyczną zamianą Słowacji na kolonię niemiecką. Co to za niepodległość i suwerenność, która polega na... umowie dwustronnej z Rzeszą Niemiecką? Ale zdaje się, że i ten projekt zostanie przez Rzeszę odrzucony jako zbyt daleko idący. „Deutsches Nachrichten Bureau“ już donosi o napadach na Niemców w poszczególnych miastach słowackich...

Najciekawsza jest historia z wojskami niemieckimi na Słowacji. Wpierw radio bratysławskie ogłosiło, że Niemcy maszerują przez Słowację, że w Żylinie n.p. wojska niemieckie przyjmowane były uroczystym obiadem, podawano nawet nazwiska mówców i tekst ich mów. Po tym nagle dowiedzieliśmy się z tego samego radia, że wojsk niemieckich już na Słowacji nie ma, że w Żylinie w ogóle nie były, a wiadomość o ich obecności powstała dzięki przypadkowemu przejazdowi jednego z oficerów niemieckich... A teraz znowu to samo radio stwierdza, że wojska niemieckie tylko czasowo przebywają na Słowacji i „po spełnieniu postawionych im zadań“ zostaną wycofane. A widać są to rozległe zadania, skoro n.p. taki Szano Mach z radością podaje w radio, że zdaniem generała komenderującego tymi wojskami gwardia hlinkowska nadaje się doskonale do strzeżenia kolei na Słowaczyźnie...

Krótko mówiąc, takie maleńkie, dwumilionowe Mandżu-Kuo. Tylko że nie z cesarzem, lecz z prałatem na czele.

Tajemnice puszcz karpackich.

Nie mniej tajemniczo przedstawia się sytuacja Zakarpacia. Zostało ono obsadzone, oczywiście za zgodą Niemiec, przez Węgrów. „Siczowcy“, rozporządzający tylko niewielką ilością broni palnej i amunicji, wycofali się po kilkudniowych utarczkach. Ks. Wołoszyn wylądował aż w Belgradzie i ponoć wybiera się aż do Londynu.

Ale nie wiadomo jeszcze, jakie będą dalsze losy tego kraju. Nie wiadomo, czy w Huszcie został p. inż. Oldofredi, wódz mniejszości niemieckiej Zakarpacia i przedstawiciel „zaprzyjaźnionej potencji“. Stanowisko prasy niemieckiej — mówimy o prasie zglajchszaltowanej! — jest dosyć ciekawe: nie protestuje ona przeciw pochodowi węgierskiemu, ale równocześnie sympatyzuje wyraźnie z aspiracjami Ukraińców. „Der Verzweiflungskampf der Karpathen-Ukraine“ — tego rodzaju tytuły można spotkać we wszystkich niemal pismach niemieckich, od Bydgoszczy do Kolonii i od Wiednia do Gdańska. Co ciekawsze, w oświadczeniu węgierskim o przyłączeniu Zakarpacia do krajów św. Stefana prasa niemiecka wytłuściła jaknajstaranniej i uwzględniła w nagłówkach ustęp mówiący o autonomii dla Zakarpacia.

Wnioski? Nasuwa się jeden: że mylił się naiwny ksiądz Wołoszyn, premier z mocno niewiarygodnego zdarzenia, skarżąc się gorzko przedstawicielowi ajencji Reutera: Hitler sprzedał nas Madziarom. Nie sprzedał, tylko wypożyczył. Nie na długo i za lichwiarskim procentem. Niech tylko uregulują się nieco stosunki na świeżo okupowanych terenach, niech tylko załatwi się Monachium Śródziemnomorskie, a już jakoś tak się złoży, że p. Oldofredi dostanie w Huszcie parę kuksów od „niewiadomego sprawcy“, pozwalając w ten sposób Trzeciej Rzeszy na odpowiednią akcję. Jakie ta akcja przyjmie formy: od „przyjaznej rozmówki“ z Budapesztem do mniej przyjaznego konfliktu granicznego z „niepodległą“ formalnie ale przecież znajdującą się pod opieką Rzeszy Słowacją, tego, rzecz jasna nie sposób przewidzieć. Jednego tylko jesteśmy pewni: że jeśli bez przeszkód uda się przeprowadzić plany „zachodnie“ to do Husztu powróci może nie akurat p. min. Rewaj, ale za to, powiedzmy jego przyjaciel p. Roman Suszko, albo inny... Jaryj.

Narazie za łaskawą zgodą Trzeciej Rzeszy, Węgry zajmują się „sobiraniem ruskich zemel“. Zajęcie przez Węgry Wschodniej Słowaczyzny, zamieszkałej w dużym stopniu przez ludność ukraińską o niskim stopniu świadomości narodowej — to stworzenie dla tego przyszłego Führera Ukrainy (z mianowania Berlina) podstawy terytorialnej szerszej niż nią mogło być malutkie państewko husztеńskie.

Rezultaty i cele czeskiej operacji.

Problemem najbardziej zajmującym myśl polityczną w chwili obecnej jest zagadnienie: w jakim celu została właściwie podjęta operacja czeska,

w jakim celu została dokonana, i to właśnie w tak prowokującej formie, aneksja Pragi. Odrzućmy przy tym a priori jakieś mistyczne tłumaczenia typu „realizacji idei nowej świętej Rzeszy narodu niemieckiego“. Kanclerz Hitler, w całej swej polityce dotychczasowej okazał się politykiem niezwykle realistycznym, dalekim, jeśli chodzi o rzeczywiste posunięcia, nie ich późniejszą motywację, od wszelkiego mistycyzmu. Realistycznie trzeba też rozpatrywać jego ostatnią operację.

Zaryzykujemy przy tym twierdzenie, które wielu czytelnikom wyda się paradoksalne: realne korzyści dla Trzeciej Rzeszy są przy całej „akcji“ czechosłowackiej stosunkowo niewielkie, o wiele mniejsze niż efekt zewnętrzny. Akcja ta może się Rzeszy opłacać w jednym tylko wypadku: jeśli chodzi o oczyszczenie zaplecza przed jakąś wielką operacją na Zachodzie. Wyjaśnimy sprawę szerzej.

Trzeciej Rzeszy dla zglajchszaltowania Pragi nie trzeba było bynajmniej wkroczenia niemieckich kolumn wojskowych na Hradczyn. Praga i tak była zglajchszaltowana, Hacha i tak był pachołkiem Berlina. Jeśli pojawiły się jakieś opory, to wystarczyło zagrozić tylko okupacją, by te opory znikły odrazu. Dowodzi tego najlepiej błyskawiczna zgoda Pragi na odłączenie Słowacji po berlińskiej podróży ks. Tiso. To samo odnosi się do Słowacji: i tutaj Durczański czy Karmasin, Szano Mach czy inny Tiso słuchali wiernie wszelkich berlińskich inspiracji, zwłaszcza, że i tak za ich uważnym wysłuchaniem przemawiały posterunki niemieckie na moście nad Dunajem. Można było przy odrobinie nacisku uzyskać i rozwiązanie — i tak kapitulanckiej! — Narodowej Partii Pracy i wydanie emigrantów i ustawy antyżydowskie. Poto nie trzeba było psuć sobie stosunków z Zachodem, utrudniać w niesłychany sposób pozycję przyjaciela Chamberlaina.

Zyski materialne? Są one pokaźne, niewątpliwie: część zapasu złota (przeważna jego część znajduje się mimo wszystko w Londynie), pokaźne zapasy surowców, pewien rezerwuar siły roboczej, niepewnej jednak politycznie, fabryki Skody, huty witkowickie. Ale są to zyski na krótką metę. Przemysł czechosłowacki pracował na rynki zagraniczne, które teraz utracił bezpowrotnie. Potrzebuje on surowców, które trzeba sprowadzać z zagranicy, płacąc dewizami, których Rzesza nie ma. Za trzy, cztery miesiące, kiedy aport czechosłowacki będzie tak „versoffen“, przechlany, jak został przechlany, podług wyrażenia b. min. niemieckiego Brinkmanna, aport austriacki, Rzesza stanie wobec sytuacji wielekroć trudniejszej niż przed aneksją Czech.

Zysk w uzbrojeniu? Wydaje się nam, że liczby podawane przez pisma codzienne są mocno wyolbrzymione. Specjalista wojskowy angielski, kap. Liddell Hart, mówi o 700 samolotach i poważnym zysku w ciężkiej artylerii. Ale i tu trzeba pamiętać, że najlepsze samoloty i armaty stają się starym żelastwem, kiedy brak im amunicji czy benzyny, a z jednym i drugim jest nie najlepiej. Tymczasem aneksja Czech tak zmobilizowała opinię publiczną Zachodu, tak przyśpieszyła tempo jego zbrojeń, że za dwa do trzech miesięcy i ta przewaga będzie wyrównana, nie mówiąc już o tym, że zapowiadająca się wyraźnie rewizja ustawy neutralności pozwoli Stanom od pierwszej chwili poprzeć Zachód całą siłą swego przemysłu. Jak widzimy jedne i drugie korzyści są tylko czasowe, na krótką metę, nie wyrównują długofalowych minusów całej operacji.

Jaka więc przyczyna ją spowodowała? Wydaje się nam, że odpowiedź na to pytanie znajduje się w słowach min. Ribbentropa, wypowiedzianych do p. Chvalkovskiego jeszcze przed kilku miesiącami: nie wierzymy wam i zajmiemy naszym wojskiem wasz kraj, jeśli tylko będziemy spodziewali się konfliktów z Zachodem.

Tak jest, Trzecia Rzesza musi przygotowywać się do jakiejś większej eskapady na Zachodzie. Eskapady na dużą skalę, eskapady, przy której nie wystarczą tylko słodkie słówka i, jeszcze parę tuzinów zapewnień, przy której trzeba będzie operować ciężkimi groźbami, kto wie czy nie wymachiwać zbrojną pięścią pod nosem przeciwnika. W świetle tej hipotezy sprawa staje się jasna: nawet drobne stosunkowo, dające się w ciągu kilku miesięcy wyrównać, różnice w poziomie uzbrojenia, stają się ważne i doniosłe, kiedy zbrojny konflikt oddalony jest tylko o, powiedzmy, cztery tygodnie. Czeskie rezerwy złota i dewiz, choć nieznaczne wobec deficytów bilansu handlowego Trzeciej Rzeszy, wystarczą na opłacenie, powiedzmy rocznego zapotrzebowania rudy żelaznej w Szwecji. I przede wszystkim: w razie konfliktu na Zachodzie tych kilkanaście dywizji armii czeskiej, tych blisko tysiąc samolotów czeskich mogło przecież stać się groźnymi. Cóż z tego, że formalnie dysponował nimi Hacha czy Chvalkovski. Oddziałami dowodzili, w eskadrach służyli młodzi ludzie, pamiętający Benesza. Któż mógł zaręczyć, że w pewnej chwili Hacha i Chvalkowski nie powędrują tam, gdzie ich miejsce, a armia czeska uderzy na Rzeszę, a z lotnisk czeskich wylecą bombowce na okręgi przemysłowe niemieckie? Istnienie armii czeskiej w każdym razie unieruchomiało pokaźne siły niemieckie. Teraz jest inaczej: armia czeska jako uzbrojona jednostka nie istnieje, rozbrojony naród czeski będzie wprawdzie czekał klęski brunatnych okupantów, ale nie chwyci za broń, bo jej nie ma. Tu tkwi decydująca przyczyna marszu na Pragę. I tu jest główne dziś źródło niepokoju europejskiego.

Kolej na Mussoliniego! O co iść będzie w tej nowej, zachodniej już eskapadzie? Przewidziana ona jest w „Mein Kampf“. Rzesza nie może pójść podbojem na Wschód, zdobywać niemieckim mieczem ziemię dla niemieckiego pługa — mówi w swym zasadniczym dziele Kanclerz Trzeciej Rzeszy — dopóki nie został rozgromiony dziedziczny wróg na Zachodzie, czyhający tylko by zadać Niemcom cios w plecy, gdy znajdą się w ciężkich zmaganiach ze wschodnim kolosem. Pp. Daladier i Bonnet sądzili, że potrafią skłonić kanclerza do zmiany tego ustępu jego dzieła, zapewniając o swej absolutnej zgodzie na wschodnią ekspansię Rzeszy. Napróżno! Kanclerz Hitler wykonuje, wykonuje planowo i systematycznie swój program (przestroga i dla innych, co myślą, że deklaracje przyjaźni i pakty współpracy uchronią ich przed brunatną żarłocznością!). Trzecia Rzesza nie gardzi żadnymi kąskami, które jej się nadarzą. Połknęła Kłajpedę, jak połknęła Pragę i Bratysławę. Nie miałaby nic przeciw połknięciu i innych terenów. Ale to nie zmienia faktu, że zasadniczo Rzesza gotuje się w chwili obecnej do rozgromienia „dziedzicznego wroga“ francuskiego. Wszystko przemawia za tym, że — pomijając ewentualne

drobniejsze poprawki na Wschodzie, dokonywane przede wszystkim pod analogicznym do czeskiego kątem widzenia (nafta rumuńska? „opieka“ nad Węgrami? powrót Stojadinowicza?) — główny cios w bieżącym roku padnie na Zachodzie i że sygnał do niego dadzą właśnie Włochy.

Były, w pewnych kołach reakcyjnych w Polsce, próby „stawiania“ na Włochy przeciw, lub conajmniej, w odróżnieniu od Niemiec, próby wygrywania Włoch przeciwko Rzeszy. Otoczenie p. Bonneta wierzyło — lub udawało, że wierzy — iż uda się okiełznać żądania Włoch przy pomocy hitlerowskiej Rzeszy. Dzisiaj to drugie złudzenie już prysło bezpowrotnie, pierwsze zaś prysnąć musi w niedalekiej przyszłości.

Nie, Włoch nie uda się oddzielić od Niemiec. Z różnych przyczyn: po pierwsze dlatego, że tylko w sojuszu z Niemcami Włochy mogą dostać to czego rzeczywiście chcą: panowanie nad Morzem Śródziemnym. Włochom nie idzie o samą tylko kolej z Addis-Abeby do Dżibuti, o taki czy inny skrawek Tunisu. I tak nie miałyby zeń wiele pożytku, jak nie mają dziś żadnego pożytku z podbitej Abisynii. Dzisiejsze żądania włoskie mają charakter przede wszystkim strategiczny: chodzi o uzyskanie takich pozycji, z których dopiero można by podjąć walkę o całe Morze Śródziemne i — last not least, ostatnie ale bynajmniej nie najmniej ważne — próbę wymuszenia od Paryża i Londynu okupu gotówkowego w wysokości, jakaby wystarczyła na zorganizowanie eksploatacji nowostworzonego Imperium. Czyż może im to dać nawet p. Chamberlain, wierny przyjaciel il Duce, nawet p. Laval, który go uratował w czasie kampanii abisyńskiej? Rzecz jasna, że nie, że tylko w oparciu o dynamizm niemiecki jest możliwe osiągnięcie tak daleko idących celów.

Włochy nie mogą odejść od Niemiec także dlatego, że odejście to groziłoby reżymowi niemieckiemu katastrofą. Blok wojenny od dawna stał się blokiem ideologicznym: utrzymanie reżymu niemieckiego jest właśnie interesem dyktatora włoskiego, który od lat wbijał w głowę swych zwolenników, że Hitler i on to jedno. Zachwianie się nazizmu musi pociągnąć za sobą i trudności dla Mussoliniego. Trudności, których bynajmniej nie pozwoli mu przezwyciężyć nawet pokaźny kredyt anglo-francuski.

Na odwrót. Rzesza nie może porzucić Włoch z przyczyn zarówno ideologicznych, jak i strategicznych. Oparcie włoskie było bezcenne wprost dla Hitlera w czasie wszystkich jego rozgrywek środkowo-europejskich. Może ono mieć dlań olbrzymie znaczenie w każdym konflikcie z Zachodem, a trzeba pamiętać, że do takiego konfliktu przecież w każdej chwili przyjść może. Pozatym, więź ideologiczna, łącząca obie dyktatury nie mniej silnie odczuwana jest w Berlinie jak w Rzymie. Dał temu wyraźne sformułowanie Hitler w ostatniej swej mowie w Reichstagu — cytowaliśmy wtedy odnośny ustęp. Cóż bardziej naturalnego, że teraz, po sukcesach niemieckich, kolej na Włochy, że Frankfurter Zeitung — właśnie „umiarkowana“ Frankfurter Zeitung! — zapowiada zgłoszenie pretensji włoskich i pełne, stuprocentowe poparcie ich przez Włochy.

Główny punkt zapalny kontynentu europejskiego przenosi się na Zachód.

Skrucha p. Chamberlaina. Stał się cud razu pewnego... Jadąc do Birmingham, gdzie miał wygłosić wielką zasadniczą mowę, p. Chamberlain zostawił w domu swój parasol. Triumfalnie odwieściła nam o tym prasa angielska. Nie podała jednak, czy zamiast parasola p. Chamberlain wziął ze sobą laskę, taki tęgi, sękaty, chłopski kij, którym się odpędza złośliwe, natrętne psy. Mowa w Birmingham brzmiała w każdym razie, jak trzaśnięcie kijem. P. Chamberlain uderzył się w piersi. Przyznał, że dał się oszukać. Przyznał, że jego polityka „uspokojenia“ umarła.

Po mowie przyszła seria „ostrych“ zarządzeń: odwołanie ambasadorów, nie uznanie zaboru Czech, embargo na złoto czeskie, rozmowy z ambasadorem sowieckim. Przyszła analogiczna mowa Daladiera. Przyszło niespodziewane przejście na pozycję oporu wszystkich niemal monachijczyków w Anglii i Francji. Oficjalne, urzędowe depesze zaczęły mówić o organizowaniu bloku anty-osiowego, o tym, że Anglia i Francja zrozumiały już zawodność polityki „bezpośrednich kontaktów“ i powracają do polityki innej: polityki zjednoczonego przeciwstawienia się wszelkiej agresji. Zabrzmiała w kancelariach europejskich dawno zapomniana nuta „kolektywnego bezpieczeństwa“.

Brzydka podszewka słusznych mów. Jesteśmy od dawna zwolennikami „kolektywnego bezpieczeństwa“. Jesteśmy od dawna przeciwnikami polityki monachijskiej. Ale, kiedy czytaliśmy w pierwszych dniach depesze o błyskawicznym nawróceniu pielgrzyma z Godesbergu i jego wiernych zwolenników, nie mogliśmy się wyzbyć myśli: Jest za dobrze, by tak było na prawdę. Niestety, już pierwsze doświadczenia „polityki oporu“ chamberlainowskiego typu potwierdzają ten nasz brak zaufania. Już po mowie Chamberlaina, już po jego „nawróceniu“, Rzesza kieruje do Litwy ultimatum, po którym Litwie nie pozostaje nic innego, jak „w interesie pokoju światowego“ oddać Niemcom Kłajpedę. Niewątpliwie, rząd litewski przed powzięciem decyzji porozumiał się z Londynem. Odpowiedź, jaką stamtąd otrzymał, nie była więc widocznie zbyt zachęcająca do oporu.

Już po rozpoczęciu rozmów w Londynie Rumunia podpisuje pakt z Niemcami, zamieniający ją, jeśli nie w pełną kolonię, to w półkolonię Trzeciej Rzeszy. I Rumunia pytała się o radę w Londynie. Opowiedź, jaką otrzymała, kazała jej widocznie złożyć podpis pod dokumentem, kładącym faktycznie kres jej gospodarczej niezależności.

Poważne przyczyny każą nam zachować maksymalną rezerwę wobec nagłego „nawrócenia“ chamberlainistów i daladierzystów. Chcielibyśmy zwrócić uwagę polskiego czytelnika na fakt, że w pierwszej dyskusji czeskiej w Izbie Gmin nie tylko sam Chamberlain zachowywał się nadzwyczaj wstrzemięźliwie, ale jego zwolennicy, zabierający głos w dyskusji wręcz pochwalali akcję Niemiec, wypowiadali się uparcie za dalszą kontynuacją „polityki porozumienia“. Pamiętajmy, że cała prasa monachijska we Francji, z daladierowską „Oeuvre“ na

Od wydawnictwa

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

czele, występowała bardzo łagodnie, tłumaczyła i usprawiedliwiała Rzeszę, że p. Flandin, najbliższy przyjaciel p. Bonneta, gratulował rządowi Daladiera jego „zimnej krwi", czyli mówiąc po prostu pełnego poparcia dla akcji Niemiec, że Francja odwołała swego ambasadora dopiero w dobę po odwołaniu ambasadora angielskiego, że „Oeuvre" nawet już po mowie Chamberlaina drukowała artykuły, usprawiedliwiające politykę monachijską. Chcemy przypomnieć, że delegacja brytyjskiego Lewiatana mimo aneksji Czech najspokojniej prowadziła dalej pertraktacje ze swymi kolegami niemieckimi, że, co więcej, podpisała, właśnie w dzień ogłoszenia trzynastu punktów protektoratu czesko-morawskiego, końcowy protokuł tych pertraktacji, że prezes brytyjskiego Lewiatana, p. Bennett oświadczył wręcz, iż kryzys polityczny zupełnie nie wpłynął na przebieg rokowań.

Jak widzimy, „nowa polityka" wykonywana ma być przez starych ludzi, mocno jeszcze związanych z polityką „starą". Owoce tego widzimy w praktyce. Każde kolejne oświadczenie brytyjskie jest słabsze od poprzedniego. Niema już mowy o blokadzie gospodarczej Rzeszy, mogącej rzeczywiście osadzić w miejscu maszynę zbrojeń niemieckich. Niema już mowy o konferencji wszystkich sił zagrożonych przez ekspansję niemiecką. Mówi się już tylko o jakiejś mętnej, nikogo do niczego nie zobowiązującej deklaracji, o jawnym proklamowaniu sojuszu wojennego anglo-francuskiego, będącego i tak od dawna rzeczywistością polityczną. Chamberlain i Daladier przystosowali tylko swą terminologię do nastrojów społeczeństw, przemówili na chwilę językiem oporu, ale prowadzą dalej politykę kapitulacji.

Słusznie pisze w „Głosie Narodu" ks. Piwowarczyk: „I Chamberlain i Daladier i wszyscy goście Hitlera z Berchtesgaden... winni odejść. Na ich miejsce winna przyjść w Europie do steru nowa ekipa polityków — ludzie mocni i trzeźwi. Tacy, którzyby nie ugięli karku przed groźbą i którzy by się nie dali wyprowadzić w pole zapewnieniami".

Nie rządy ale społeczeństwa!

Mimo to nie wierzymy jeszcze, by pochód dalszy faszystowskiej osi miał się odbywać spokojnie i bez przeszkód. Może Kłajpeda przejdzie jeszcze bez trudności ,może przejdzie jeszcze jakoś (choć i to nie jest pewne) jakieś małe „wyrównanie rachunków" na Południowym Wschodzie. Ale decydująca gra, wydaje się nam, raczej się nie uda.

Bo — i tu widzimy decydujący czynnik sytuacji! — przebudziły się społeczeństwa Zachodu. Jeśli Chamberlain w ciągu dwóch dni musiał przejść od obrony do najostrzejszego potępienia swego monachijskiego przyjaciela, jeśli musiał schować na chwilę swój parasol, a zamiast niego wyciągnąć kij, to sprawiła to świadomość, że pozycja jego jest zachwiana, że gotowa go obalić jego własna większość. Daladier uzyskał wprawdzie pełnomocnictwa, ale uzyskał je po zapewnieniu, że nie odda piędzi ziemi francuskiej, ani jednego paragrafu z praw, jakie sobie Francja wywalczyła. A tymczasem, aby teraz dojść do porozumienia z osią, trzeba by oddać i to sporo.

Po aneksji Czech Mussolini nie zadowoli się groszowymi zarobkami w rodzaju portu wolnocłowego w Dżibuti. Teraz jego kolej. Teraz on musi dostać zapłatę za wszystko, co dotąd zarabiał Hitler. A poza tym Rzesza musi dostać też pewne „porękawiczne", jakieś kawałki kolonii afrykańskich, i to o ile możności szczególnie korzystnie położone pod względem strategicznym. Specjaliści od kapitulacji pp. Bonnet i Chamberlain stoją wobec trudnego zadania: oddać osi pozycje imperialne, nim naród francuski i angielski spostrzeże się do czego zmierzają.

Aneksja Czech, mimo wszystko nie przyczyniła się do ułatwienia im tego zadania. W akcji szerokich rzesz ludowych, w szerokim froncie od Duff Coopera poprzez Sinclaira i Attlee aż po Stafford Crippsa, od de Kerillis poprzez Reynaud aż do Bluma i Jouhaux — widzimy jedyną możliwość przeszkodzenia, by Europa nie stała się, przynajmniej na parę lat, paszałykiem Berlinternu.

Nauczyciel nauczycieli

Jan Władysław Dawid w 25-tą rocznicę śmierci

W czasach zapalczywego poniżania wieku XIX i przypisywania mu wszystkiego złego, trapiącego ludzkość dzisiejszą, Jan Władysław Dawid staje się reprezentatywnym apologetą tego wieku i to apologetą w najszlachetniejszym znaczeniu słowa. Reprezentuje on szkalowany wiek miniony i swą bogatą umysłowością i przodowniczą postawą moralną. Zgodnie ze swoją wiarą naukową, niczego nie uważa za załatwione ostatecznie, ale bada, poszukuje, walczy i wierzy, że przyjdzie chwila, w której rozjaśnią się dzisiejsze zagadki i tajemnice istnienia, aby uczynić miejsce nowym.

Jest on człowiekiem w całym znaczeniu słowa i nic ludzkiego nie jest mu obcym. Urodził się w r. 1859 i wzrastał w świat wielkości ducha i w atmosferę dyskusji, która nawet najsprzeczniejszymi tezami nie zakłócała braterstwa ludzi, ale je raczej pogłębiała. Żyła wtedy niezachwiana wiara w dobrą wolę człowieka i tę wiarę podzielał Dawid w całej pełni, a zarazem usprawiedliwiał ją, pracując nad zapewnieniem człowiekowi prawa i wolności poszukiwania prawdy i mówienia prawdy o sobie.

Kształcił się w warunkach, które dla dzisiejszego pokolenia bywają niezrozumiałe i niepojęte. Po dyplom uprawniający zawodowo trzeba było chodzić wtedy do szkoły rosyjskiej, która przy swoim charakterze politycznym i biurokratycznym czyniła wszystko, co tylko mogła, aby młodzieży polskiej utrudnić zdobywanie wiedzy. Pokolenie Dawida musiało szukać wiedzy prawdziwej, niezależnej od polityki i biurokracji, poza tą szkołą, która wymagała od swoich wychowanków tylu wysiłków umysłowych i tak wielkiego samozaparcia moralnego. Była to walka na dwa fronty, wymagająca

wielkiego poświęcenia od młodzieży, ale była to zarazem walka dająca naszemu społeczeństwu ludzi, jakich domagały się czasy wyjątkowo ciężkie i złe. Celem walki było nie tylko zapewnienie sobie bytu, ale i wyjarzmienie z niewoli całego narodu. Słusznie wierzono wtedy, że tylko wielkie światło może rozproszyć mroki niewoli i przywrócić narodowi wolność. Jednym z najszlachetniejszych przedstawicieli tej walki o wolność ducha polskiego był właśnie J. Wł. Dawid.

Aby go w pełni ocenić, trzeba zdać sobie sprawę z pewnego stanu rzeczy. W atmosferze iłowajczyzny, która rządziła i panowała tak despotycznie, jakże łatwo było reagować uczuciowo odmianą innej iłowajszczyzny, odszkodowywać się nią doraźnie, grzęznąć w niej i w gruncie rzeczy stracić daleko więcej, niż zabrać mogła przemoc. Pokusa mogła być tym większa, że prawda historyczna bywała nieraz przykra dla nas a historycy nasi nie szczędzili nam nauk, że w dziejach niedoli polskiej więcej było winy własnej, niż przemocy zaborców. Toteż nie brakło prób usypiania bolesnej świadomości i sui generis morfinizowania ogółu modyfikowaniem rzeczywistości. Dla „krzepienia serc" dawano rzeczom i sprawom inne imiona, eufemizowano zdarzenia. Na szczęście ta postać maskowanej ugody nie znajdowała aprobaty wśród ludzi wychowywanych prze takich rzetelnych i czystych realistów, do jakich należał Dawid.

Wiedział on, że prawda wyzwala, że trzeba mieć dość odwagi, aby spojrzeć jej w oczy, i dość woli, aby wierzyć w jej zwycięstwo i w wyzwolenie człowieka. To zaś wyzwolenie było dla Dawida czymś więcej, niż nieobecność kagańca i pęt. Ciężka walka o wolność nie kończyła się dla niego na wyczekiwanym odzyskaniu jej, ale się wtedy właśnie potęgowała. Dawid należał do tych duchów niepodległych, którzy jak Nietzsche wolni są nie od czegoś, od jakichś pęt czy kajdan, ale dążą ku czemuś wielkiemu, co trzeba budować bezustannie bez oglądania się na skłonności kwietystyczne tych, co chcą mieć „święty spokój". Dawid był jednym z najlepszych przedstawicieli świętego twórczego niepokoju.

Dość rozejrzeć się w bibliografii jego prac, aby zrozumieć, jak rozległą była jego wiedza. Wypełniała jego życie od wczesnej młodości, dając mu treść osobliwą. Mimo rzucanych mu pod nogi kamieni, gimnazjum ukończył programowo szybko jako uczeń wzorowy. Tak samo szybko kończy studia prawne na uniwersytecie warszawskim i w r. 1882 jako 23-letni młodzieniec jedzie za granicę, aby w Halli i Lipsku studiować nauki przyrodnicze, psychologię i pedagogikę. Dawid był jednym z niewielu, co zdawali sobie sprawę, że mechanicznie usunięta niewola żyć będzie dalej w umysłach i sercach jako groźne pogotowie możliwych nowych postaci niewoli. Równie dobrze, jak Frycz Modrzewski w wieku XVI wiedział i on, że „niemoc serca gorsza jest od choroby ciała", że przeto trzeba „zleczyć dusze". Głęboka świadomość, że należy odrodzić umysły i sumienia, czyni zeń nauczyciela i wychowawcę miary niepospolitej.

Wiedza jest dla niego zjawiskiem nie pierwotnym, ale wtórnym. Rzeczą najważniejszą jest wola prawdy i taka postawa moralna, która żadnej prawdy się nie lęka. Biograf Dawida, Henryk Lukrec, pełen podziwu i miłości dla tego „ministra oświecenia publicznego" w czasach niewoli, powiada o nim m. in., iż domagał się odpowiednich warunków zewnętrznych i wewnętrznych zarówno dla nauczających jak i dla nauczanych. „Stawiając te wysokie idealne wymagania, Dawid rozumiał zależność ich od całego szeregu warunków społecznych, gospodarczych, moralnych, wskazywał więc i kładł wielki nacisk na potrzebę zabezpieczenia bytu materialnego nauczycielstwa, swobody myślenia i niezależności". Zasługuje to na podkreślenie w czasach obniżania się poziomu kultury duchowej i szukania siły wyłącznie w mechanizowaniu życia. Dawid żądał dla nauczyciela wolności gospodarczej, umysłowej i moralnej.

Mógłby kto powiedzieć, że to są przecie rzeczy elementarne i naturalne. Owszem, już są, ale nie były nimi zawsze. Dawid występował w obronie światła niemal równocześnie z magnatami galicyjskimi, którzy z zaciekłym fanatyzmem zwalczali nauczycielstwo i bronili potrzebnej im ciemnoty chłopa. Stadniccy i Popiele domagali się głośno nauczyciela „z miernym uzdolnieniem" a ciemnotę chłopa motywowali troską o „szczęście, wiarę, łaskę Boga i zbawienie wieczne", podczas gdy chodziło przecie jedynie i wyłącznie o możność eksploatowania ciemnego człowieka. Dzisiaj trudno wierzyć, że tacy „furiaci wstecznictwa", jak ich nazywa Świętochowski, występowali na kilka zaledwie lat przed wystąpieniami Dawida, ale to jest fakt, niestety, i dlatego głosu Dawida nie należy uważać za akademicki. Zresztą domaganie się dobrych warunków przy wychowaniu i kształceniu człowieka nie wyczerpuje jego zasług. Dawid był chciwy wiedzy, gromadził doświadczenia własne i obce, potrafił ustalać pewne fakty, tworzyć wartościowe teorie, być nauczycielem nauczycieli.

Taki jest Dawid jako uczony i teoretyk. Ale to go nie wyczerpuje. Jest w nim jeszcze coś, co nam go przybliża na odległość serdecznej sympatii. Człowiek ten, taki rozmiłowany w ścisłej wiedzy i tak żarliwie wyznający pozytywizm i materializm, nie miał w sobie nc z doktrynera, podporządkowującego rzeczywistość umiłowanej doktrynie. Ofiara z założeń doktrynalnych na rzecz prawdy poznanej to zawsze ofiara wielka, połączona jakby z przekreśleniem i odrzuceniem pewnego dorobku zdobytego z wielkim trudem. Gromadzenie wiedzy to rzecz trudna i mozolna, klasyfikowanie jej i rytmizowanie jest czymś podobnym do lokaty kapitałów, których zdobycie kosztowało wiele mozołu. Jest rzeczą ludzką — arcyludzką, że człowiek przywiązuje się do swego mienia duchowego i nie lubi się z nim rozstawać nawet gdy spostrzega, że pewne jego części straciły na wartości wewnętrznej. Właśnie pokolenie Dawida widywało na uniwersytetach niemieckich, i nie tylko tam, zjawisko dość osobliwe, że np. uczony teolog przemawiający

W dziejowej chwili

W patriotycznej trosce o wzmożenie siły obronnej Rzeczypospolitej przez oparcie jej na całym, zjednoczonym społeczeństwie, wszystkie odłamy polskiej myśli politycznej w uchwałach P. P. S., Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy uroczyście stwierdziły konieczność utworzenia Rządu Zaufania Narodowego, Jedności i Obrony. Jest to pragnienie całego narodu.

z katedry do studentów poddawał teksty świętych ksiąg surowej krytyce, ale gdy stawał na kazalnicy, to te same teksty traktował jak pierwszy lepszy pleban wiejski, jak gdyby o swej własnej wiedzy nic nie wiedział i jak by go ona nie obchodziła.

Dawid inaczej. Jako zdecydowany pozytywista traktował np. psychologię religii ze stanowiska fenomenologii zjawisk psychicznych. Widział w niej nawet część psychologii ogólnej i zasadniczo nie zdradzał specjalnych zainteresowań dla spraw obejmowanych ogólnym mianem metafizyki. Ogromne oczytanie w literaturze specjalnej usposabiało go raczej krytycznie i sceptycznie dla pewnych zjawisk z tej dziedziny. Ale gdy przyszedł wielki wstrząs moralny w związku z tragicznym zgonem żony, z którą był najściślej związany całym życiem swoim, nie wahał się zrewidować swego dotychczasowego stanowiska i nie lękał się powiedzieć, że poza doświadczeniem pokoleń i poza masą zjawisk, które William James objął wspólnym mianem „różnorakości doświadczenia religijnego“ jest może jeszcze coś na razie dla wiedzy ludzkiej niedostępnego. Ta ofiara z posiadanej doktryny na rzecz możliwości nieznanego rodzaju, przepięknie mówi o moralnym charakterze Dawida. Głębokiej czci dla prawdy i prawdziwości składa ofiarę z samego siebie, chociaż jednocześnie wie, że człowiek pragnie nie tylko prawdy, ale chce całą siłą swej duszy, aby prawda była w harmonii z jego niepokonalną wolą życia. Nawet najżarliwszy doktryner nie odważy się zakwestionować postawy Dawida, który nie przystosowuje się do niczego, nie czyni żadnych ustępstw na rzecz takiej czy innej sytuacji, ale ulega wyłącznie głosowi sumienia i woli poznania prawdy.

Dawid wykonał olbrzymią pracę i gdyby ciągłość naszej tradycji kulturalnej nie pozostawiała tyle do życzenia, gdyby permanentne pogotowie naśladowcze nie zdradzało z tak lekkim sercem twórczych wysiłków polskich na rzecz idej obcych częstokroć nam szkodliwych, dzieło Dawida byłoby podbudową wielkiego dorobku przez niego zapoczątkowanego. Jak wszyscy najwięksi badacze kultury i on widział w niej zjawisko organiczne, biologiczne, które rośnie i rozwija się razem z duszą człowieka. Dzisiaj dochodzi do głosu mechanizacja nie troszcząca się o biologię kultury, działa u nas ostre pogotowie naśladowcze i tylko dlatego imię Dawida przemawia jedynie do tej mniejszości kulturalnej, która wszędzie i zawsze bywa wyłączną przedstawicielką najwyższych wartości ducha wolnego. Gdy dojdzie kiedyś do kulturalnej, duchowej konsolidacji społeczeństwa — a któżby wątpił, że do niej dojdzie?! — imię Dawida jaśnieć będzie jako imię jednego z największych bojowników o najwyższą postać wolności i niepodległości — o wolność i niepodległość ducha i duszy polskiej.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

Z dnia na dzień

TRZECI ROZBIÓR CZECHOSŁOWACJI

Po dwudziestu latach niepodległości Czesi i Słowacy znaleźli się znowu w jarzmie. W jarzmie stokroć okrutniejszym, niż to, które zrzucili w jesieni 1918 roku. O tyle okrutniejszym, o ile okrucieństwo „nowoczesnej“, po faszystowsku zmodernizowanej reakcji przewyższa zaśniedziały obskurantyzm starej monarchii habsburskiej. O tyle, o ile bestialstwo faszyzmu prześcignęło wszystkie znane dotąd w dziejach wzory barbarzyństwa i ucisku, nie wyłączając czarnosecinnej despotii caratu.

Nieszczęście, które spotkało te dwa narody, budzi w całym świecie cywilizowanym gniew i oburzenie przeciw rozwścieczonej dyktaturze faszystowskiej. Budzi serdeczne współczucie wszystkich uczciwych ludzi dla srodze dotkniętego narodu czeskiego i słowackiego. Tylko karły, wyzute z wszelkiego poczucia człowieczeństwa, plujące na własną i cudzą godność ludzką i narodową, mogą w tym tragicznym momencie naigrawać się z smutnego losu, który stał się udziałem Czechów i Słowaków. I jakkolwiek w żadnym kraju nie brak w tej chwili „triumfatorów“, którzy cieszą się z nowego, przejściowego zwycięstwa hitleryzmu, z radością trzeba stwierdzić, że ludzie (?) ci są w każdym narodzie zupełnie osamotnieni, że sami postawili się poza nawiasem uczciwej opinii światowej, która w tych smutnych dniach zajęła jednolitą i niedwuznaczną postawę, powszechnym potępieniem zareagowała na haniebny, cyniczny akt gwałtu. Pod pręgierzem stanął reżim, który prowadząc własny naród do strasznej katastrofy, depcąc jego wielką tradycję kultury i humanizmu, niszcząc jego wspaniały dorobek cywilizacyjny, przekreślając jego niezniszczalny wkład do ogólnoludzkiej skarbnicy ducha — jednocześnie niesie niewolę i zagładę innym narodom, gotując im los średniowiecznych Prusaków, ogniem i mieczem wytępionych przez drapieżny zakon teutoński. I pod pręgierzem stanęli ludzie, którzy we wszystkich krajach pełnili i nadal chcą pełnić smutną rolę hitlerowskich pachołów, ludzie którzy — w miarę swych sił i środków ale zawsze z prawdziwym zapałem — pomagali i pomagają hitleryzmowi w realizacji jego zamysłów.

Trzeci rozbiór Czechosłowacji wywołał też jednomyślne potępienie ze strony całej uczciwej opinii polskiej. Społeczeństwo nasze lepiej niż którekolwiek inne rozumie i odczuwa tragedię Czechów i Słowaków. Doświadczenie ostatnich lat stu pięćdziesięciu pouczyło naród polski, co znaczy niewola, jakim nieszczęściem jest utrata niepodległego bytu państwowego. W szczególności nasze ziemie zachodnie pamiętają jeszcze

brutalne rządy hakaty, pamiętają bezwzględną politykę wynaradawiania i eksterminacji, stosowaną wobec Polaków przez niemieckiego zaborcę. A przecież despotia Hohenzollernów była... rajem wolności w porównaniu z okrutnym jarzmem hitlerowskim, w którym znaleźli się teraz Czesi i Słowacy!

I naród polski w tej ciężkiej chwili całym sercem wypowiada się po stronie Czechów i Słowaków. Szlachetny wyraz tym nastrojom wszystkich uczciwych Polaków dał Ignacy Paderewski, który na wolnej ziemi amerykańskiej w liście do Edwarda Benesza oświadczył: „Z głębi serca przepełnionego oburzeniem protestuję przeciwko ujarzmieniu pańskiego narodu". W tych prostych słowach, jakże głęboko polskich słowach męża, który reprezentuje kulturę polską wobec Zachodu i dlatego jest zwalczany i oczerniany przez rodzime hitlerochwalstwo — wyraził się nieśmiertelny duch naszego narodu, duch wolności i człowieczeństwa, duch nieugiętej walki z uciskiem i przemocą.

Ten duch, ta tradycja Polski Walczącej o niepodległość i demokrację, woła dziś głosem milionów: Bracia Czesi i Słowacy! Jesteśmy z wami!

ZDRADA!

Czesi i Słowacy zostali zdradzeni. Zostali zdradzeni przez tych ludzi, których na łamach „Epoki" stale piętnowaliśmy jako Targowiczan, zdrajców ojczyzny i sprzedawczyków. Pomonachijscy władcy Czechosłowacji jawnie i cynicznie nałożyli jarzmo na szyję własnego narodu, z pogwałceniem konstytucji „przepisali" swą ojczyznę na własność Trzeciej Rzeszy. Ci ludzie, którzy na gruzach „husycko - masońsko - marksistowskiego państwa Benesza", zdradzonego w Monachium przez londyńskich i paryskich czarnogiełdziarzy politycznych, rozpoczęli swe rządy od zgnębienia czeskiej i słowackiej demokracji, jedynej siły zdolnej do uratowania niepodległości — musieli zajść tam, dokąd zaszli: na przedpokoje Hitlera i Ribbentropa. Hacha, Beran, Chvalkovsky, Syrovy, Gajda, Tiso, Sidor, Durczansky, Mach, Murgasz, Tuka, Sokol i dziesięciu czy piętnastu innych tegoż pokroju czeskich i słowackich „narodowców" i „niepodległościowców" — oto nazwiska, które historia postawi obok nazwisk Franco, Codreanu, Szalassy, Degrelle, Mussert, i wszystkich, zapatrzonych w te niedoścignione wzory „narodowej" zdrady ojczyzny, pracujących w różnych krajach na rzecz nowego Imperium Germanicum.

Bohaterowie zdrady, wśród których znalazł się jeden naczelny wódz armii i jeden prałat, świadomie oszukali Czechów i Słowaków, zataili przed nimi swe nikczemne zamiary, zataili żądania Hitlera i do spółki z nim zaskoczyli własny naród, rzucili go pod stopy najźdźcy.

W „NARODOWYM" PANTEONIE

I trudno doprawdy powiedzieć, kto w tym ponurym dziele odegrał rolę bardziej odrażającą: pionierzy czeskiego ruchu „narodowego" Hacha i Beran, czy słowaccy „niepodległościowcy" Durczansky i Mach. W obu wypadkach zdradzieckie, antynarodowe, targowickie oblicze faszyzmu odsłoniło się w całej swej ohydzie. To ci właśnie ludzie, których pewien, wiadomy odłam prasy polskiej sławił jako bohaterów odrodzenia narodowego, jako pogromców masonerii i żydowstwa, jako zbawców i twórców „nowych" Czech i „niepodległej" Słowacji — na brzuchach poczołgali się do buta zaborcy i oddali mu swój naród w... opiekę!

Oto Gajda, który przed kilku miesiącami w wywiadzie ogłoszonym przez naszą prasę „narodową", oświadczył: „Ja jestem żołnierz, mam twardy kark i przetrzymałem pana Benesza". Rzeczywiście, przetrzymał nie tylko Benesza, ale i niepodległość swej ojczyzny — dziś faszyści p. Gajdy wskazują siepaczom Gestapo mieszkania patriotów czeskich, których wywozi się do obozów koncentracyjnych.

Oto Hacha. Katolicka Ajencja Prasowa z rozczuleniem komunikowała katolikom polskim, że po obiorze na miejsce wygnanego Benesza nowy prezydent udał się do katedry św. Wacława i zadokumentował swą wierność katolicyzmowi. Dziś rzucił swój kraj pod stopy zaciekłych wrogów katolicyzmu. Ale — rzecz ciekawa — katolicy polscy nie dowiedzieli się nigdy, że Pius XI do ostatka, jeszcze w obliczu monachijskiej zdrady, bronił republiki Masaryka i Benesza...

Oto Wojciech Tuka, swego czasu skazany na 15 lat ciężkiego więzienia za szpiegostwo na rzecz państwa, wrogiego Słowakom.

Oto ksiądz prałat(!) Tiso, który w młodości pisał swe nazwisko z węgierska Tiszo, a potem przedzierżgnął się w słowackiego patriotę. Partia, na czele której zacny ten kapłan stanął po śmierci Hlinki, nazywa się oficjalnie słowackim stronnictwem **katolicko-ludowym.** Czyż więc w imię katolicyzmu i dla dobra katolicyzmu oddano naród słowacki w jarzmo Trzeciej Rzeszy? Czy w imię katolicyzmu ksiądz prałat T. okazał się pospolitym hitlerowcem?

Oto Mach — „wódz" Hlinkowej Gardy, której członkowie wespół z policjantami Gestapo aresztują dziś prawdziwych patriotów słowackich! Ten to Mach 15 marca wieczorem przez radio bratysławskie zapewniał ludność Słowacji, że kraj ten jest naprawdę niepodległy, zaklinał, żeby się nie przejmowano okupacją niemiecką, dowodził, że Hitler jest prawdziwym przyjacielem narodu słowackiego — a mówiąc to, wiedział już o zamierzonej „opiece" hitlerowskiej nad Słowaczyzną.

NASZ „PRZYJACIEL"

A otóż i Karol Sidor, który ostatnio tyle hałasu uczynił i w Polsce, gdzie wśród zachwytu głupców podawał się za naszego wiernego „przyjaciela". Kochany Sidorek był u nas goszczony i fetowany po staropolsku, wygrażał Czechom ile wlazło, poczym wyjechał czule żegnany. Przyszły dni wrześniowe. Pan Sidor grzmiał przeciw Czechom — po otrzymaniu wiadomości o układzie Hitlera i Chamberlaina w Berchtesgaden. Ale w kilkadziesiąt godzin później wybuchła bomba w Godesbergu. Hitler zerwał układ, Chamberlain poleciał do Londynu, rząd czechosłowacki ogłosił mobilizację, zdawało się, że mocarstwa zachodnie dotrzymają swych zobowiązań i wystąpią przeciw niemieckiej agresji. A Sidor? Cóż, Sidor stanął przed mikrofonem w Pradze i ogłosił płomienny manifest do Słowaków, wzywając ich do obrony republiki czeskosłowackiej, oświadczając, że postulaty ich zostały przez rząd centralny spełnione i dlatego wszyscy jak jeden mąż powinni stanąć do walki o całość i niepodległość państwa. Lecz w dwa dni później przyszło Monachium — pierwszy rozbiór Czechosłowacji. Pan Sidor błyskawicznie zorientował się w nowej sytuacji i z powrotem wystąpił w skórze nieugiętego „niepodległościowca". Pod patronatem Hitlera powstał w Bratysławie „rząd" autonomicznej Słowacji, który w zawrotnym tempie shitleryzował życie słowackie, rozgromił organizacje demokratyczne i patrioty-

czne, zawiesił prasę, zamknął setki działaczy słowackich w obozie koncentracyjnym, wydał ustawy przeciwżydowskie. Z ramienia tego rządu, który przygotowywał ostateczne oddanie Słowacji Hitlerowi, pan Sidor zasiadł w rządzie praskim jako wicepremier. W międzyczasie ten wypróbowany „przyjaciel" Polski na spółkę z Murgaszem zdołał zorganizować na Słowaczyźnie szeroką, inspirowaną z Wiednia kampanię antypolską, która doprowadziła do krwawych wypadków na orawskiej granicy.

Ale plany zaborcze Trzeciej Rzeszy zbliżały się do ostatecznej realizacji. Tiso, Durczansky, Mach, Tuka i Murgasz organizowali w Bratysławie hitlerowski pucz, który pod postacią „niepodległej" Słowacji miał stworzyć między Karpatami a Dunajem nową kolonię niemiecką. Rząd praski postanowił uprzedzić zamach. Usunął rząd Tisy i obsadził Słowację wojskiem. Było jednak za późno. Tiso, Durczansky i Murgasz uciekli do Wiednia i wezwali pomocy niemieckiej (znamy to z naszych dziejów!) a pan Sidor... objął rządy w Bratysławie jako „czynnik pojednania". Co uczynił? Wycofał wojska czeskie i oddał władzę swym hitlerowskim kompanom. Wybrany pod bagnetami Hlinkowej Gardy „Sejm" w Bratysławie proklamował „niepodległość". Powstało w ten sposób podporządkowane Niemcom **Słowa-Kuo,** w którego „rządzie" pan Sidor został... ministrem spraw wewnętrznych. Ale natychmiast został usunięty — na urlop. Czy miała to być kara za „pojednawczą" politykę wobec Pragi? Tak się wydawało. Wydawało się, że Sidor przegrał z kretesem. Rozeszła się nawet pogłoska, że szlachetny mąż zwiał do... Polski. Nic podobnego. Na wielkim wiecu „patriotycznym" w Bratysławie przemawiał razem z Machem i hitlerowcem niemieckim Hausknechtem. Zapewniał, że kariera jego nie skończyła się. Wierzymy.

MITTELEUROPA JUŻ JEST

Naszkicowaliśmy sylwetki co znakomitszych „narodowców" czeskich i słowackich nie dla sensacji, nie dla mody literackiej, której zawdzięczają swój żywot tak liczne ostatnio biografie powieściowe wielkich ludzi. Jeżeli przed oczami naszych czytelników przesunęliśmy ten świetny korowód wielkich Czechów i Słowaków, zasłużonych patriotów, ofiarnych bojowników, posągowych bohaterów „nowej" Słowiańszczyzny Zachodniej, uwolnionej nareszcie od rozkładowych wpływów międzynarodowego żydostwa, demoliberalnej masonerii i marksizmu, uczyniliśmy to dla tym plastyczniejszego odtworzenia triumfalnego marszu „nowej" i „narodowej" Europy, która w tej części naszego kontynentu nosi starosłowiańskie miano Mitteleuropy. Przedstawiliśmy naszym czytelnikom führerów, czy raczej **unterführerów** narodu czeskiego i słowackiego, zasłużonych pionierów nowego, odżydzonego, dynamicznego ładu, który powstał na gruzach republiki Masaryka i Benesza.

Dwie prowincje niemieckie, Böhmen i Mähren oraz rządzone z Berlina Słowa-Kuo — oto radosny plon niezmordowanej pracy „narodowej" tych wszystkich, którzy zapatrzeni w berlińskie i rzymskie wzory z zapałem godnym lepszej sprawy dążyli do klęski demokracji i wolności, do triumfu faszystowskiej despotii. Patrzymy już na triumf obozu, który w faszystach wszelkiej maści kazał nam widzieć prawdziwych patriotów, szlachetnych zbawców ojczyzny! Co gorsza, reklamował słowackich hitlerowców jako przyjaciół Polski, w klęsce czeskiej i słowackiej demokracji widział wielki sukces naszej Rzeczypospolitej!

DIE ALTE DEUTSCHE STADT...

Słyszeliśmy nadawany przez radio berlińskie reportaż z „wyzwolonej" przez Hitlera Pragi. Starą stolicę czeską, miasto Husa i Masaryka, Złotą Pragę, hitlerowski speaker nazwał sobie poprostu: die alte deutsche Stadt an der Moldau — **stare niemieckie miasto nad Wełtawą.** Cieszmy się! Takich starych niemieckich miast jest więcej. Miast, które w dawnych wiekach zaludnione były w mniejszej lub większej liczbie przez niemieckie mieszczaństwo. Jest gdzie kierować Drang nach Osten. Są w tych miastach mniejszości niemieckie, prześladowane i wynaradawiane, którym trzeba przyść z pomocą....

Faszystowski totalizm we wszystkich postaciach jest najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla Polski. Albo jest on bezpośrednio agenturą zagraniczną Trzeciej Rzeszy, służącą do paraliżowania społeczeństw zagrożonych przez wszechniemiecki imperalizm, organizującą w łonie tych społeczeństw zbrojne, sfantatyzowane watahy szturmowe pod targowickim sztandarem — albo prowadzi do rozbicia społeczeństwa, odpycha najszersze masy od państwa, budzi rozgoryczenie i zniechęcenie, niweczy zaufanie obywateli do siebie i do rządzących, odwraca uwagę narodu od spraw istotnych, od prawdziwych niebezpieczeństw ku urojonym (straszak masoński, żydowski itp.) hamuje rozwój świadomości politycznej, bez której żadne społeczeństwo nie sprosta trudnym zadaniom najbliższej przyszłości. Tylko w demokracji jest prawdziwe i powszechne, świadome a nie mechaniczne i odgórne, zjednoczenie narodu i zespolenie narodu z państwem. Tylko demokracja stworzy z mas ludowych niezwyciężoną siłę obronną, zbuduje przed wrogiem potężny front patriotyczny, wzniesie przed nim żywy mur obrony narodowej, o który rozbije się zaborcza nawała pangermanizmu.

POLSKA POD SZTANDAREM WOLNOŚCI.

Jeżeli mówimy: „tylko demokracja" — to nie przemawia przez nas bynajmniej obozowy partykularyzm ani ciasnota polityczna ludzi, którzy triumfują, że bieg wypadków potwierdził ich przewidywania. Nie pora doprawdy na triumfy. Sytuacja jest zbyt poważna, żeby **ktokolwiek** w Polsce mógł dziś bez szkody dla ojczyzny „gnębić" swych przeciwników politycznych głupimi przechwałkami w stylu: „a mówiliśmy".

Stwierdzenie błędów czy pomyłek, **niezależnie od tego kto je popełnił**, może mieć tylko jeden, jedyny cel: uświadomienie sobie najbliższych zadań i obowiązków, które ciążą w tej chwili na każdym obywatelu Rzeczypospolitej — bez względu na jego przekonania polityczne, pochodzenie, język czy wyznanie. Ale **stwierdzenie** błędów



Demokracja polska
zawsze walczyła
i walczy obecnie
o przyszłość Polski



nie ma nic wspólnego z **wytykaniem** ich. I demokracja polska napewno jest najdalsza od chęci małostkowego i jałowego wypominania swym przeciwnikom błędów, które — jej zdaniem — popełnili. Dlatego stwierdzając, że tylko demokratyzacja naszego życia publicznego wykrzesze z narodu i uaktywni maksimum sił materialnych i moralnych potrzebnych dla obrony, niezależna opinia polska nie kieruje się ograniczonym interesem partyjnym czy obozowym, lecz głębokim, zaczerpniętym z doświadczenia, przekonaniem.

Tylko szaleniec, lub człowiek, który utracił zupełnie wiarę w Polskę, mógłby wątpić, że dla odparcia teutońskiego niebezpieczeństwa cały naród jak jeden mąż każdej chwili stanie pod bronią — niezależnie od tego, jaki będzie w danym momencie system rządzenia w Polsce. W obliczu najazdu nikt nie uzależniałby spełnienia swego obowiązku od swych poglądów społeczno-politycznych. Naród polski walczył nawet w najgorszych warunkach. Pozbawiony własnego państwa, opuszczony przez wszystkich w Europie, zdradzony przez rodzime wstecznictwo, stawiał czoło największym potęgom militarnym. Tylko duch obcego nam defetyzmu i kapitulanctwa mógłby zrodzić niewiarę w to, że i obecnie, w warunkać po stokroć lepszych niż w okresie zaborów, naród polski umiałby bronić swej wolności. I tylko wrogie Polsce ośrodki mogłyby szerzyć dziś w społeczeństwe defetyzm, niewiarę we własne siły, rezygnację i nastroje kapitulanckie!

Pod tym względem nie ma w Polsce różnicy zdań — i być nie może. Jeżeli jednak demokracja w tej właśnie poważnej sytuacji głosi postulat gruntownej przemiany w naszym życiu politycznym, jeżeli domaga się porzucenia wszystkich monopartyjno - totalistycznych pomysłów, rozbijających społeczeństwo i kopiących przedział między obywatelami a rządem — czyni to w interesie wzmożenia siły obronnej państwa przez oparcie jej na najszerszych warstwach narodu świadomych swej odpowiedzialności za losy Rzeczypospolitej.

Związek między polityką wewnętrzną i zagraniczną jest dziś wyraźniejszy niż kiedykolwiek. I nikt chyba w Polsce nie ma dziś wątpliwości, jaki powinien być kierunek naszej polityki zagranicznej, po której stronie jest nasze miejsce w grożącym konflikcie. A skoro rzeczywistość polityczna postawiła nasze państwo w szeregu tych krajów, które we własnym, narodowym interesie muszą stawić czoło faszystowskiej agresji — nikt nie może też wątpić, że walka nasza, o ile zostanie nam wbrew naszej woli narzucona, będzie walką o wolność. I pod sztandarem wolności będzie prowadzona.

Interes wolności i interes Polski jest jeden. Pod **tym** względem nic się nie zmieniło od tej chwili, gdy w walce o niepodległość na sztandarach naszych wypisaliśmy hasła wolności i demokracji.

Książka o szczególnej doniosłości

Nowsze badania nad dziejami walk o wyzwolenie Polski rozwiewają wiele mitów stworzonych przez historyków XIX w. dla pokrzepienia serc i podniesienia ducha. Rozwiał się przede wszystkim mit o „narodowej zgodzie“, kłamstwem okazały się twierdzenia jakoby warstwy panujące wyżej stawiały losy ojczyzny niż własne stanowe i prywatne interesy. Dzięki badaniom Wacława Tokarza wiemy np. o powstaniu listopadowym dużo, okazało się jednak, że jeszcze nie wszystko. Świeżo wydana praca jednego z uczniów Tokarza — Maksymiliana Melocha rzuca niezmiernie ciekawe światło na dotykaną dotąd tylko mimochodem sprawę — postawę mas chłopskich wobec powstania listopadowego.[1])

Materiały archiwalne wykorzystane po raz pierwszy przez Melocha pozwolą niewątpliwie dokonać wielu poprawek w utrwalonych poglądach, rozjaśnią niektóre ciemne punkty w wewnętrznych dziejach tego okresu. Dopiero w świetle wykorzystanych dokumentów można będzie mówić o społecznej ideologii postania. Oprócz wyjaśnienia tragicznych wypadków 1831 r. odkryty przez Melocha materiał jest cennym przyczynkiem do dziejów samodzielnego ruchu chłopskiego. Niezależnie od narzucających się zewnętrznych podobieństw tkwi w tych faktach wiele głębokich nauk ważnych i dla toczącej się dzisiaj walki.

Po wybuchu powstania uprzywilejowana elita utrzymująca olbrzymią większość ówczesnego społeczeństwa w stanie półniewolnictwa stanęła wobec konieczności odwołania się do tej większości. O ile dotąd chłop miał obowiązki tylko wobec pana: oddawanie całej swej pracy do jego kieszeni — teraz trzeba mu było naprędce wytłumaczyć, że ma również obowiązki wobec ojczyzny, że winien jej bronić i poświęcić dla niej życie. Wytworzyła się sytuacja jaka w krytycznych momentach powstawała zawsze w krajach despotycznych, we wszystkich ustrojach (mutatis mutandis) totalnych: szlachta polska nie mogła rzucić chłopom hasła walki o „wolność i niepodległość“ ponieważ rozumiała dobrze niebezpieczeństwo takiego wezwania. Mogło się ono łatwo obrócić przeciwko niej, przeciwko jej monopolowi ucisku i wyzysku. Już w pierwszych tygodniach po wybuchu zaczęły z różnych stron dochodzić wieści, iż chłopi samowolnie uwalniali się od pańszczyzny, oświadczając, że teraz są „wolni i niepodlegli“.

Agitacja była rzeczywiście utrudniona. Odpadły hasła wolności, niepodległości, nie można było nawet wzywać do służby w obronie własności, ponieważ chłop własności żadnej nie posiadał. To też rząd w instrukcji dla plebanów jak mają pouczać lud wiejski mówił tylko o zachęcaniu do „gorliwego pełnienia obowiązków, wykonywania wszelkich rozkazów rządowych... *bez wdawania się w żadne polityczne widoki lub zbyteczne uniesienia*“. Kiedy jeden z biskupów wiedziony snadź uniesieniem polecił, aby w suplikach śpiewanych na intencję powstania zastąpiono wyraz „wojna“ przez wyraz „niewola“ (od powietrza, głodu, ognia, niewoli (!) zachowaj nas Panie)

[1]) Maksymilian Meloch: Sprawa włościańska w powstaniu listopadowym. W-wa 1939. Gebethner i Wolf.

powstała w łonie episkopatu opozycja. Biskup krakowski zwalczał tę zmianę, gdyż „nowością swoją mogłaby pogorszyć lud bogobojny, a wyraz „niewola“ *źle zrozumiany mógłby się stać przyczyną publicznej i domowej niesforności*“ (s. 43)

Nie tylko propaganda nastręczała trudności. Aby przygotować chłopa do obrony ojczyzny należało go uzbroić i ćwiczyć we władaniu bronią. Utworzono więc w województwach półwojskowe organizacje tzw. Gwardie Ruchome. Rychło jednak okazało się, że chłop uzbrojony, zebrany w masie jest znacznie mniej potulny i mniej chętny do odrabiania pańszczyzny. Dochodziło w różnych miejscach do poważnych konfliktów i zaburzeń, tymbardziej, że w wielu wypadkach dowódcami Gwardii byli ci sami dziedzice i dzierżawcy przenoszący żywcem do służby dla ojczyzny atmosferę z folwarku. Aby przeciwdziałać zaburzeniom wydano zarządzenie nakazujące wójtom i burmistrzom wydawanie broni jedynie na czas ćwiczeń. Wobec znacznych odległości od miejsc, w których składano broń musiało się to odbić na służbie, straże bowiem odbywały również nocne patrole i warty. Dopiero na skutek przedłożeń rząd zgodził się na przechowywanie broni u sołtysów.

Przyczyną powtarzających się zaburzeń — podkreśla Meloch — były ekonomiczne bolączki chłopów. Położenie ich odmalowane przez dotychczasową literaturę w dostatecznie ponurych barwach pogorszyło się jeszcze w czasie powstania. Do starych ciężarów dorzucono nowe.

Do Gwardii powołano małorolnych i bezrolnych. Ćwiczyli oni dwa dni w tygodniu, często daleko od domów i na czas ćwiczeń musieli zabierać ze sobą żywność. W ówczesnym położeniu chłopa było to prawie niewykonalne. Najważniejszym zaś ogniskiem zadrażnień była pańszczyzna. Przez cały czas powstania rząd z reprezentacją narodu (t. zn. szlachty) sejmem stały na stanowisku, że interesy właścicieli ziemskich nie mogą doznać żadnego uszczerbku. Chłop powołany na ćwiczenia musiał odrabiać tę samą ilość pańszczyzny, służba w wojsku nie pociągała żadnych ulg dla pozostawionej w domu rodziny. Przeciwnie, wraz z ubytkiem rąk roboczych ciężary wobec dworu wzrastały. Mimo stale powtarzających się skarg, mimo iż przeciążenie powinnościami rodzin było jedną z przyczyn szerzącej się dezercji, żadna z władz powstańczych nie ośmieliła się ingerować w tę sprawę. Jedna tylko w kraju była świętość — święte prawo eksploatacji chłopa i jemu musiało się podporządkować wszystko. Na tym tle wyrosło zjawisko godne zapamiętania. Powołanych na ćwiczenia robotników folwarcznych szlachta zaczęła zwalniać, nie chcąc tracić dwu dni pracy w tygodniu. Ponieważ zaś ustawa o Gwardii zabraniała powołanym zmieniać miejsce zamieszkania, wydaleni parobcy nie mogli szukać nowych stanowisk. Wytworzyła się sytuacja trudna — co robić z pozbawionymi środków utrzymania chłopami? Rząd wysuwał projekt utrzymywania ich przez gminy (t. zn. przez chłopów), a władze woj. krakowskiego postanowiły zaapelować do sumień parobków, którzy *„usilnością swą będą wynagradzać (panom) czas na mustrze strawiony i tym sposobem przekonają, że ubóstwo nie czyni miłości dla ojczyzny niedostępną“.* (s. 51). Zdanie to wzrusza nas dzisiaj swoją bezpośredniością. W normalne dni robocze odrabiać jeszcze czas stracony na mustrze i to dla miłości ojczyzny! Jaki wielki krok od tych czasów zrobiły społeczeństwa w dziedzinie nienazywania rzeczy po imieniu, o ile doskonalszymi metodami operują dzisiejsze biura propagandy!

Historia w powtórzeniach swoich potrafi być niekiedy nieprzyzwoita. W chwili kiedy nawała wschodnia dotarła do granic Warszawy, kiedy mury zadrżały od huku dział na polach Grochowa, a delegacja zamożnego mieszczaństwa domagała się poddania stolicy, by nie narażać jej na zniszczenie — wówczas (mowa w dalszym ciągu o r. 1831) większość reakcyjnych posłów opuściła stanowiska, szukając bezpieczniejszego schronienia. Jakkolwiek ocenianoby ten brak zaufania do własnej odwagi — postępek reprezentantów ówczesnej prawicy społecznej miał raczej dodatnie skutki. Okrojony sejm (t. zw. mały komplet) postanowił wykorzystać fakt, iż większość miała w nim teraz postępowa, liberalna szlachta i poruszyć doniosłą zarówno z politycznych jak i gospodarczych względów sprawę chłopską. Należało w tym groźnym momencie uczynić coś dla chłopa, aby związać go z powstaniem, zachęcić do walki, utrącić ew. próby rosyjskie obrócenia go przeciw powstaniu. Wysunięto projekt uwolnienia chłopa od pańszczyzny, oczynszowania go. Oczywiście tylko w dobrach rządowych, o naruszeniu stosunków w dobrach prywatnych nawet w tym małym komplecie nie mogło być mowy.

Rozpoczęła się w sejmie długa dyskusja, którą po raz pierwszy obszernie, opierając się na diariuszu sej-

---

Red. St. Mackiewicz (Cat) w Berezie

PAT. donosi:

W dniu 22 marca został zatrzymany i skierowany do miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej redaktor naczelny „Słowa“, Stanisław Mackiewicz.

W licznych wystąpieniach prasowych na łamach tego pisma redaktor Mackiewicz oddziaływuje na opinię publiczną w sposób, prowadzący do podrywania zaufania do zdolności obronnych państwa, obniżania powagi władz państwowych, oraz szerzenia się nastrojów defetystycznych w sprawie wewnętrznej i zewnętrznej sytuacji państwa, przeciwdziałając akcji zjednoczenia narodowego w okresie ogólnej konsolidacji społeczeństwa polskiego.

Nie mogąc szerzej komentować tego faktu, wyrażamy pełną solidarność z poniższą uchwałą Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich ogłoszoną w „Słowie“ z dnia 24 bm.:

„Członek Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich redaktor naczelny „Słowa“, jeden z najwybitniejszych polskich publicystów, uczestnik walk o niepodległość odznaczony Krzyżem Niepodległości, oficer rezerwy, b. poseł na Sejm, Stanisław Mackiewicz, został za działalność publicystyczną wysłany do obozu odosobnienia w Berezie.

„Zarząd Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich uważając, że stosowanie podobnych represyj wobec dziennikarzy, którzy w swej działalności podlegają Sądom korporacyjnym i państwowym, godzi nie tylko w jednostki, lecz w cały zawód, niwecząc wolność prasy, — wyraża w związku z powyższym stanowczy protest“.

mowym, przedstawił w swej pracy Meloch. Dyskusja była długa, ogarnęła również i publicystykę radykalną i rezultatem jej był projekt oczynszowania chłopów w dobrach rządowych. Nie należy przeceniać znaczenia tego projektu dla ówczesnego stanu kwestii chłopskiej; analiza Melocha dostatecznie obnaża jego istotne tendencje. Nie załatwiał projekt najważniejszej sprawy — własności gruntów, zamieniał na opłatę pieniężną wszystkie powinności pańszczyźniane t. zn. wyznaczał czynsz tak wysoki, że chłopi nie byliby w stanie go płacić i t. d. Słowem, i ten projekt szedł po linii interesów obszarniczych i nie uwzględniał w najmniejszej mierze potrzeb chłopa. Trzymano się tutaj zasady wypowiedzianej przez wodza liberałów kaliskich i członka rządu B. Niemojewskiego: „pierwszą zasadą prawa jest, aby dochody (szlachty) nie były uszczuplone, chodzi tylko o zamianę powinności osobistych na czynsze pieniężne" (s. 110). W każdym razie z optymistycznego punktu widzenia była to jakaś próba reformy.

Ale oto bohaterstwo żołnierza odparło wroga od stolicy i wracać zaczęli do swych funkcji wypoczęci posłowie. Odrazu też nastąpiła zmiana w nastrojach. Wprawdzie niebezpieczeństwo nie minęło, odsunęło się o kilkadziesiąt kilometrów, ale w stolicy nie słychać było denerwującej kanonady. Fakt ten wystarczył do podniesienia optymizmu, sprawa ustępstw dla chłopa przestała być aktualna. Sejm zebrany w komplecie uznał, że projekt oczynszowania należy gruntowniej rozważyć i usunął go z porządku dziennego na zawsze. Zaczęto zwalczać demagogiczne twierdzenia jakoby pańszczyzna była przyczyną nędzy chłopskiej. Opublikowana w tym czasie broszura dowodzi, że chłop nasz jest „trochę do próżnowania skłonnym i oto właśnie przyczyna jego niedoli", drugą przyczyną są Żydzi, którzy rozpijają chłopa: „Żydzi są główną przyczyną niedoli włościan". A więc nie rosnące stale ciężary podatkowe i pańszczyźniane, nie wywłaszczanie, nie gorzelnie szlacheckie, których wyroby dostawał chłop zamiast zapłaty — lecz lenistwo i Żydzi. Dzisiejsi wyznawcy tych poglądów mogą triumfować. Sąd, który mimo tak otwartego cynizmu potrafił utrzymać się w ciągu stuleci, zasługuje conajmniej na szacunek.

Reasumując: w r. 1831 warstwy rządzące kierowały się ideologią sformułowaną jeszcze w czasie Sejmu Wielkiego przez posła Suchorzewskiego: ojczyzna, w której uszczuplonoby prawa posiadaczy, przestaje być ojczyzną. To już zresztą nie tylko ideologia, to prawo historyczne rządzące w każdym czasie i miejscu, tak samo w Polsce, jak we Francji w czasie rewolucji, jak w Hiszpanii dzisiejszej.

Myliłby się jednak, kto sądziłby, że obszarnicza szlachta miała zatwardziałe serca na niedolę chłopską. Myślano również o poprawie położenia chłopów w dobrach prywatnych. W tym celu powstały aż dwa towarzystwa filantropijne, zadaniem których było za pieniądze uzyskane ze składek wykupywanie gruntów od szlachty i obdarowywanie nią chłopów. Oczywiście cała działalność Towarzystwa Przyjaciół Włościan pozostawała w ramach przyzwoitości. Kiedy w nazwie towarzystwa umieszczono niebezpieczne słowo „uwłaszczenie" (przy pomocy składek) spowodowało to interwencję nawet wodza lewicy ówczesnej Lelewela (s. 153). O właściwej misji tej filantropii poucza takie zestawienie faktów podanych przez Melocha: towarzystwa powstały w okresie „kiedy chłopi burzyli się i zaprzestawali odrabiania pańszczyzny", kiedy dochodziło nawet do napadów na dwory — a właśnie filantropi między innymi zadaniami wytknęli sobie przeciwdziałanie „niechęci włościan do właścicieli ziemskich", (s. 154). Złośliwe losy nie pozwoliły Polsce zakosztować owoców tych śmiałych pionierskich koncepcji, torujących drogę rozbudowanej już dzisiaj i dojrzałej filozofii solidaryzmu społecznego. W każdym razie chłopi nie docenili ich, wzmagał się stan wrzenia, rosła dezercja, w okręgach o największym nasileniu nędzy, w krakowskim, dochodziło do poważnych buntów.

Powstanie upadło jednak nie z winy chłopów. Chłopi i lud miejski tworzący armię Królestwa, walecznością swą, bohaterstwem dawali możność zwycięstwa. Powstanie złamane, zsabotowane zostało przez wodzów, przez góry społeczne hołdujące ideologii ugody, w obawie przed własnym społeczeństwem wpadające w ramiona zaborcy. Na ten temat wewnętrznych tarć w łonie warstw rządzących daje Meloch wiele cennego materiału. Praca ta na tle dzisiejszego zainteresowania ruchem chłopskim nabiera szczególnej doniosłości. Oczyszczając grunt ze złudzeń na temat przeszłości pozwoli tym trzeźwiej spojrzeć na teraźniejszość.

W. K. Bieńkowski.

Zła przysługa

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Adam Heydel, nie od dziś boleje nad upadkiem kultury w Polsce. Mówiąc „kultura" pan profesor ma jednak na myśli kulturę jednego tylko, specyficznego typu: kulturę ziemiańsko-szlachecką — bo „innej tradycji kulturalnej poprostu nie mamy". Trosce o tę właśnie kulturę poświęcił pan profesor specjalny tomik („Myśl o kulturze", Warszawa 1936), a ostatnio dał jej wyraz w artykule, zamieszczonym w niedawno powstałym czasopiśmie „Obrona Kultury" (nr. 5 z 1.III.1939), pt. „Camera obscura".

Nawiązując do znanych już szeroko przykładów, przytoczonych w Senacie przez prof. Bartla, i uzupełniając je szeregiem rzeczywiście horendalnych przykładów zaczerpniętych z własnej praktyki, prof. Heydel ubolewa nad niesłychanie niskim poziomem intelektualnym młodzieży akademickiej, wyrażającym się w braku elementarnych wiadomości z zakresu nauczania szkoły średniej oraz w nieumiejętności samodzielnego myślenia i zdobywania wiedzy.

Obserwacje prof. Heydla są niewątpliwie trafne; ale rozpoznanie przyczyn groźnego zjawiska — zupełnie błędne. Prof. Heydel oświadcza, że obniżenie poziomu młodzieży akademickiej wytłumaczyć sobie może „tylko w jeden sposób: **zbyt szybką demokratyzacją studiów wyższych**". Chamy, panie dzieju, pchają się do uniwersytetów, zamiast pilnować wideł i cepa — no i cóż dziwnego, że taki jeden z drugim nie umie po-

wiedzieć, co to jest akwaforta, kiedy żył Napoleon, ile będzie 5% od 200?

Pogląd taki jest zupełnie zrozumiały u człowieka, który zna i uznaje tylko ziemiańsko-szlachecką tradycję kulturalną. Dla takiego człowieka jest rzeczą nie do pojęcia, że kultura, w której on sam wyrósł, jest skazana na zagładę, że znajduje się ona w stanie daleko posuniętego rozkładu — którego wyrazem są zarówno przytaczane w artykule „Camera obscura" przykłady ignorancji i tępoty studentów, jak i krwawe napady na kolegów innego wyznania czy innego pochodzenia klasowego — nie z powodu „inwazji" elementów „niższych", ale na skutek działania „naturalnych" praw rozwoju społecznego. Bo przecież większość tych kretynów, którzy na egzaminach nie umieją odpowiedzieć na najprostsze pytania — a którzy za to świetnie władają żyletką, kastetem i petardą — to nie synowie chłopscy i robotniczy, ale właśnie szlacheccy panicze, nieraz z „dobrych", ziemiańskich rodów. Nieuctwo i bandytyzm, pogarda dla wiedzy i uwielbienie dla uzbrojonej pięści — to dwie strony tego samego medalu, to przejawy tego samego procesu ostatecznej degeneracji starej kultury szlacheckiej.

Żadne ubolewania i utyskiwania, żedne pomstowania na „zbyt szybką demokratyzację wyższych uczelni" nie powstrzymają i nie odwrócą tego procesu. Prawdziwa troska o kulturę wyraża się dziś nie w próbach zahamowania dopływu młodzieży chłopskiej i robotniczej do szkół średnich i wyższych, lecz w dążeniu do rzeczywistej demokratyzacji wiedzy, do jak najszybszego oczyszczenia atmosfery życia uniwersyteckiego — i całego w ogóle życia polskiego — z trujących miazmatów, wydzielanych przez gnijące resztki tej „kultury", dziś już nie wiele wspólnego mające z jakąkolwiek kulturą. Jak słusznie zauważa Chałasiński w „Młodym pokoleniu chłopów", „nie chodzi o ratunek dla szlacheckiej kultury przed chłopskimi synami, lecz chodzi o ratunek dla chłopskich synów przed szlachecką kulturą".

Oczywiście, nie znaczy to, aby należało wymieść **całą** tradycję kulturalną, odrzucić cały dorobek kulturalny przeszłości. Biorąc rzecz **historycznie,** kultura polska ma rzeczywiście kształt szlachecki — nie wyłącznie ale przeważnie szlachecki. To jest fakt, którego zmienić nie można — choć można i należy odnaleźć w mrokach przeszłości i ożywić tradycje kulturalne innych warstw społeczeństwa poza panującą warstwą szlachecką. Ta kultura szlachecka wydała wiele dzieł wspaniałych, którymi zawsze będziemy się zachwycać i szczycić.

Tak samo jednak, jak nie można zmienić kształtu kultury, którą dziedziczymy po naszych przodkach — nie można zmienić faktu, że ten kształt **dzisiaj** jest już kształtem przeżytym, że współczesna nam kultura szlachecka jest zdegenerowana i nieprzydatna, a nawet szkodliwa dla dalszego rozwoju narodu. Dziś trzeba budować **nowy kształt kultury polskiej** — trzeba stworzyć kulturę chłopską i robotniczą, która wchłonie i przetworzy najlepsze wartości dawnej kultury szlachecko-ziemiańskiej i mieszczańskiej, ale nie będzie tej dawnej kultury imitacją, nie będzie jej prostym przedłużeniem — bo jej twórcy: chłop i robotnik wniosą do niej nowe, tamtej kulturze nieznane i obce wartości.

Demokratyzacja tylko formalna, polegająca na powierzchownym asymilowaniu zewnętrznych form kultury warstw panujących przez nieliczne jednostki wychodzące z warstw pracujących, jest istotnie szkodliwa. Demokratyzacja prawdziwa, polegająca na wzbogaceniu dotychczasowego dorobku kulturalnego nową treścią, jaką wnoszą ze sobą emancypujące się społecznie i kulturalnie masy, nie tylko nie stanowi groźby dla kultury, ale jest najpewniejszą i najpotężniejszą dźwignią jej rozwoju i postępu.

Prof. Heydel, zapatrzony w nierealny ideał kultury szlacheckiej „odnowionej", nie dostrzega i nie rozumie tej różnicy między demokratyzacją pozorną i rzeczywistą, i potępia demokratyzację „w ogóle". W ten sposób jednak złą oddaje przysługę sprawie kultury — broni ją przed wrogiem urojonym, osłania zaś jej wrogów rzeczywistych.

JÓZEF CZERMIŃSKI

Kolumna rozmaitości

NOWA GRUPA ETNICZNA W SZKOŁACH AKADEMICKICH.

Pod redakcją doc. dr Marii Ossowskiej i przy udziale redakcyjnym profesorów: Ant. Dobrowolskiego, Manfreda Kridla i Floriana Znanieckiego wychodzi w Warszawie miesięcznik p. n. „Szkoły Wyższe". Każdy zeszyt tego czasopisma świadczy, że jest to nie tylko żywe ognisko myśli naukowej, ale także redutą obronną cywilizacji, wolności i człowieczeństwa.

W lutowym zeszycie „Szkół Wyższych" Dr. Stanisław Ossowski drwiąco i dowcipnie omawia uchwałę Związku Stowarzyszeń Asystentów, maskującą w słowach mętnych i obłudnych istotną treść nazistowską. Nie chcąc zniekształcać tego wystąpienia przez pomieszczenie wyjątków, przytaczamy je w całości:

W ubiegłym roku Związek Stowarzyszeń Asystentów Państwowych Szkół Akademickich Rz. Pol. przyjął uchwałę, mocą której członkami Związku mogą być tylko takie Stowarzyszenia Asystentów, które dopuszczają do swego grona jedynie obywateli polskich aryjskiego pochodzenia, Karaimów i Tatarów. W ten sposób na wyższych uczelniach powstaje nowa grupa etniczna aryjsko-karaimsko-tatarska. Na ten interesujący fakt zwracamy uwagę etnologów, którym nie często zdarza się okazja obserwowania grupy etnicznej in statu nascendi, i to jeszcze takiej niezwykłej grupy.

Ale owa uchwała asystentów jest ciekawa nie tylko dla etnologów. Warto się zatrzymać przez chwilę nad jej treścią, gdy się zważy, że grono, które ją powzięło, jest bądź co bądź gronem pracowników naukowych, którzy — jak można się spodziewać — mają jakieś poczucie odpowiedzialności za słowa. Kim są Karaimi, wiemy i wiemy kim są Tatarzy. Zainteresowanie budzi natomiast ta trzecia kategoria osób dopuszczonych do Stowarzyszeń Asystentów, kategoria najważniejsza, sądząc ze sposobu sformułowania uchwały. Idzie nam o osoby „pochodzenia aryjskiego".

Gdyby Związek uchwalił po prostu „paragraf aryjski", wiedzielibyśmy o co idzie. Wyrażenie „paragraf aryjski" jest dzisiaj zwrotem konwencjonalnym, w którym przymiotnik „aryjski" jest równie daleki od swego właściwego znaczenia, jak przymiotnik „biały" w wyrażeniu „biała kawa". Ale Związek nie uchwalił „paragrafu aryjskiego". Wprowadzając zaś uzupełnienie, dotyczące Karaimów i Tatarów, pozwala wnosić, że zwrot o osobach „pochodzenia aryjskiego" jest pojmowany dosłownie. To właśnie czyni uchwałę interesującą.

Nie podobna przypuścić, aby 31 asystentów głosujących za wnioskiem nie wiedziało, że aryjskość w odniesieniu do współczesnej ludności jest pojęciem lingwistycznym, że nie ma jakiejś rasy aryjskiej, są zaś tylko aryjskie języki. Jeżeli tedy zwrot o osobach „pochodzenia aryjskiego" mamy rozumieć poważnie, to wchodziłyby tu zapewne w grę osoby pochodzące z rodzin używających jednego z języków aryjskich. W takim razie członkami owych Stowarzyszeń Asystentów mogą być wszyscy niemal asystenci Żydzi, zarówno ci, którzy pochodzą z rodzin mówiących po polsku, jak ci, którzy pochodzą z rodzin używających od wieków języka żydowskiego wywodzącego się z aryjskiej niemczyzny. Spośród Europejczyków wyłączeni byliby ze Stowarzyszeń Asystentów ludzie pochodzenia baskijskiego, węgierskiego, fińskiego.

Można by przypuścić, że uchwała ma inny sens, sens rasistyczny, że szło tam nie o osoby pochodzenia aryjskiego, lecz o osoby pochodzenia nordyckiego, a pomyłka nastąpiła pod wpływem sugestii z bliskiego zachodu. W takim razie ze Stowarzyszeń byliby wyłączeni wszyscy bruneci i szerokogłowcy, którzy nie są Karaimami lub Tatarami.

Jednakże i ta interpretacja wydaje się nieprawdopodobna; jeszcze bardziej nieprawdopodobna niż poprzednia, w myśl której uchwała Związku miałaby być jakąś demonstracją antywęgierską. Pozostają tedy, jak sądzę, dwie tylko hipotezy, które pozwoliłyby zrozumieć uchwalenie owej rezolucji.

Pierwsza hipoteza, to przypuszczenie, że ktoś z inicjatorów wniosku chciał ośmieszyć Związek Stowarzyszeń Asystentów, a może nawet wyższe uczelnie w ogóle i potrafił zręcznie zasugestionować słuchaczy, wśród których brakło widać ludzi z poczuciem honoru. Za tą hipotezą przemawiałaby zabawna pod względem logicznym forma uchwały („...członkami tych Stowarzyszeń mogą być asystenci, obywatele polscy aryjskiego pochodzenia. Nie dotyczy to Karaimów i Tatarów").

Druga hipoteza, która jest najprawdopodobniejsza, każe przypuszczać, że uchwała godzić ma po prostu w kolegów pochodzenia żydowskiego, asystenci zaś, którzy za tą uchwałą głosowali, znając motywy swego postępowania i wiedząc, że nie przynoszą im one zaszczytu, wstydzili się swojego wniosku. Może wstydzili się także ze względu na polskie tradycje kulturalne i ze względu na godność pracownika naukowego. Starali się tedy jakoś zamaskować uchwałę, aby przynajmniej tak od razu nie biła w oczy. W takim stanie emocjonalnym intelekt nie działa sprawnie, co tłumaczyłoby zarówno treść rezolucji jak jej formę.

Dla oceny polskich środowisk naukowych ważna jest jedna sprawa: w jakiej mierze grupa owych 31 asystentów może być uważana za reprezentantów dwutysięcznej bodaj rzeszy asystentów wyższych uczelni w Polsce.

Stanisław Ossowski.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Cherry Kearton: Wyspa 5 milionów pingwinów. Przekład **Aleksandra Dobrota.** Z ilustracjami. Warszawa 1939. Księgarnia Literacka.

Zdzisław Czermański: W pluszowej ramie. Z 11 rysunkami autora. Warszawa 1939. Gebethner i Wolff.

Tadeusz Malicki: Ludzie z gór. Opowiadania. Warszawa 1939. Gebethner i Wolff.

Wydawnictwa T-wa „Rój"

Aleksander Piskor: Siedem Ekscelencji i jedna dama. Warszawa 1939.

Wincenty Lutosławski: Posłannictwo polskiego narodu. Warszawa 1939.

Władysław Dunarowski: Ludzie spod miedzy. Warszawa 1939.

Karol Zbyszewski: Niemcewicz od przodu i tyłu. Z przedmową **Stanisława Mackiewicza.** Warszawa 1939.

Joan Grant: Uskrzydlony Faraon. Z przedmową **Wincentego Lutosławskiego.** Przekład z angielskiego Zofii Unrużyny. Warszawa 1939.

Erich Maria Remarque: Trzej Towarzysze. Przełożył **Zbigniew Grabowski.** Warszawa 1939.

Warszawa, Warecka 7 P.K.O. 175.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 306 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.